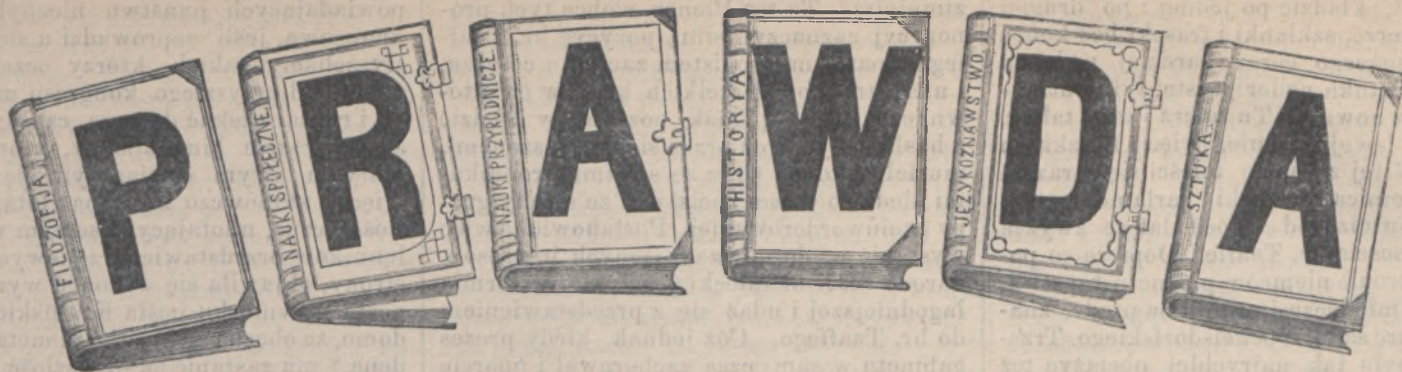
Nr. 27. Warszawa, dnia 2 Lipca (20 Czerwca) 1892 r. Rok XII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZBURZONE MOSTY.

W poprzednim numerze *Prawdy* staraliśmy się na podstawie natury charakterów i stosunków wykazać niemożliwość pojednania się ks. Bismarka z Wilhelmem II. Obecnie mamy zupełne potwierdzenie tego wywodu w ogłoszonej rozmowie współpracownika *N. fr. Presse* z b. kanclerzem Niemiec. Jak widać z tych jego wynurzeń, z przemów do publiczności, z chętnego i skwapliwego przyjmowania, a nawet wywoływania owacyj, Bismark nie bez celu kazał synowi urządzić gody weselne w Wiedniu i pod płaszczem podróży rodzinnej ukrył zamiary polityczne. Chciał on „urzędowym Niemcom“ pokazać, jak wielką cieszy się sympatyą i czcią mas nieurzędowych, nawet w państwie, które przed ćwierć wiekiem rozgromił i upokorzył, oraz wylać całą żółć na swych następców, jaka mu się uzbierała od chwili otrzymania dymisyi. Przekonawszy się, że już nie ma nic do stracenia i do zyskania, postanowił zupełną szczerością zburzyć za sobą mosty doszczętnie. *Hamburg. Nachrichten* i inne jego organy bardzo często występowały przeciw obecnemu rządowi ostro, ale ani razu nie pozwoliły sobie tak bezwzględnego lekceważenia, niemal pogardy, jak ich pan w rozmowie wiedeńskiej. Wyznajemy, że gdy ten dyalog, a raczej monolog został ogłoszony w *N. fr. Presse*, przypuszczaliśmy, że jest albo zmyślony, albo przesadzony, i że wkrótce Bismark wyprze się go stanowczo. Tymczasem okazało się, że spisany został wiernie. Oto ważniejsze jego ustępy:

Traktat handlowy, zawarty z Austryą — rzekł Bismark — uważałem za szkodliwy dla naszych interesów rolniczych, ale nie mogę waszym (austryackim) mężom stanu robić z tego zarzutu, że zręcznie wyzyskali słabość i nieudolność naszych pełnomocników. Rezultat ten wyniknął stąd, iż u nas na plan pierwszy wystąpili ludzie, których ja trzymałem w cieniu, gdyż wszystko chciano przewrócić i przekształcić. Od czasu mojego ustąpienia stan rzeczy zmienił się na złe głównie przez to, że rząd niemiecki utracił wpływ na kierunek polityki ruskiej. Do władzy już nigdy nie powrócę, a do sejmu nie wchodzę dlatego, że musiałbym stanąć na czele opozycyi przeciw rządowi i walczyć z nim otwarcie. To uwikłałoby mnie w rozmaite starcia osobiste. „Rzeczywiście nie mam żadnych zobowiązań względem ludzi teraźniejszych i moich następców; wszystkie mosty zostały zburzone. Mówiono o tem, ażeby mnie zrobić prezesem Rady państwa; czemu nie generał-adjutantem? Wtedy mógłbym popierać ministrów przeciw cesarzowi, a cesarza przeciw ministrom. Ale takie rzeczy nie dla mnie, do tego brak mi pokory chrześciańskiej.“

Bismark nie wypowiedział nigdy większej mowy bez mocniejszego lub słabszego dotknięcia stosunków międzynarodowych i możliwości wojny. Więc i tym razem rozwiódł się dość szeroko o tym przedmiocie. Według niego, Niemcy po r. 1871 osiągnęły wszystko, czego potrzebowały dla swej samodzielności i „przyzwoitego“ istnienia narodowego. Nie mogą one więc pragnąć zaborów terytoryalnych, są zupełnie nasycone; do nich stosuje się to, co Andrassy niegdyś powiedział o swoim narodzie: „Okręt Węgier jest tak pełny, że jeden funt więcej, błota lub złota, naraziłby go na rozbicie się.“ Również Rosya nie ma żadnego interesu powiększać się kosztem Niemiec. Austrya także pragnie pokoju i ma dosyć „bośniaków.“ Tylko Francya łaknie wojny i kiedyś ją wywoła.

Nie przytaczamy szczegółowo dalszych twierdzeń Bismarka, gdyż po części są one powtórzeniem znanych jego śpiewek, po części kryją w sobie wyraźną nieprawdę, a wszystkie razem nie posiadają dziś tej wagi, co dawniej. Tak np. dowodzenie jego, że „drut łączący Niemcy z Rosyą pękł wraz z jego dymisyą,“ i że stosunki obu tych państw dzięki jemu były przyjazne, urąga licznym i powszechnie znanym faktom. Dość przypomnieć ustawiczną wojnę z finansami ruskimi, zakaz przyjmowania papierów ruskich w bankach niemieckich, przeróżne sztuki i fortele, siejące niepokój, itd. Zresztą, jak daleco Bismark kręci, przekonają słowa jego, wypowiedziane w sejmie 1887 r.: „Prasa ruska, opinia publiczna ruska potężnemu i pewnemu przyjacielowi, jakim my byliśmy, pokazała drzwi (hat die Thür gewiesen). Usiłowaliśmy odzyskać dawny, zażyły stosunek, lecz za nikim nie biegamy.“

Ale — jak zaznaczyliśmy — te i tym podobne frazesy, prawdziwe czy kłamliwe, nie posiadają wielkiego znaczenia, które tkwi w ważniejszym i donioślejszym od nich fakcie zupełnego „zburzenia mostów“ między Bismarkiem a obecnym rządem niemieckim. Sam on uroczyście i stanowczo oświadczył, że „nascenie politycznej już nigdy nie wystąpi.“ I rzeczywiście, gdyby nawet innych powodów brakło, trudno wyobrazić sobie, ażeby Wilhelm II puścił w niepamięć wszystkie impertynencye dawnego swego doradcy, tak zbogacone nowym szeregiem zniewag w rozmowie wiedeńskiej, ażeby mu zapomniano, że teraźniejszych przedstawicieli rządu nazwał ludźmi wywleczonymi z cienia, niedołęgami, którzy narazili interesy państwa, figurami, niebudzącemi zaufania w państwach ościennych itd. O ile rozum ludzki ma moc przewidywania przyszłości, wydaje się niezawodnem, że Bismark należy już nieodwołalnie do „zamkniętej przeszłości.“

Z AUSTRYI.

Równowaga zagrożona. — Niemcy między sobą. — Wydział walutowy. — Wniosek Kraińskiego a oświadczenie Steinbacha. — Wotum z zastrzeżeniem.

Czy widzieliście kiedy kuglarza, który, umieściwszy na nosie laseczkę, a na niej

znów deszczułkę poprzeczną, biegnąc tam i napowrót, kładzie po jednej i po drugiej stronie talerze, szklanki i fraszki bez końca wśród rosnącego coraz bardziej podziwu widzów? Sztuka nader prosta: tylko utrzymanie równowagi. Tu talerz i tam talerz, flaszka po lewej stronie, więc i flaszka po prawej. W tej zasadzie mieści się zarazem cała tajemnica polityki parlamentarnej, którą prowadzi od dwóch lat ze zwykłą swą zwinnością hr. Taaffe. Dopiero co położył po stronie niemców pewne ustępstwa, z których młodoczesi urobili na prędce znaną awanturę sądu Weckelsdorfskiego. Trzeba więc było jak najrychlej obciążyć też stronę przeciwną. Niestety, system ten tak prosty napotyka czasem przy wykonaniu na pewne trudności. To właśnie zdarzyło się w obecnym wypadku. Drobne na pozór wstrząśnięcie zachwiało dotychczasową równowagą, istnem arcydziełem sztuki kuglarskiej, cały układ stronnictw parlamentarnych chwieje się fatalnie, i gdyby nie zaufanie do znanej sztuki mistrza, publiczność byłaby na seryo zaniepokojona.

Cóż się stało? Nic innego, tylko minister sprawiedliwości, stworzywszy niedawno sąd niemiecki w Czechach, powołał obecnie na wyższe posady sędziowskie w Morawii, Styryi, Karyntyi i Krainie kilku urzędników narodowości czeskiej i słoweńskiej. Posłowie niemieccy, oburzeni do żywego tem postępowaniem zebrali się natychmiast, aby założyć protest wspólny. Inicyatywa wyszła od grupy Steinwerdera, składającej się przeważnie z przedstawicieli krajów alpejskich. Grupa ta zajmuje w obozie niemieckim odrębne stanowisko. Trzyma się ona zwykle na uboczu od głównej, Plenerowskiej, zwłaszcza w sprawach ugody czeskiej, twierdząc nie bez słuszności, że Plener i stronnicy jego nadają sprawom tym wagę zbyt wielką w stosunku do innych spraw polityki wewnętrznej. Teraz gdy idzie o własną ich skórę, posłowie alpejscy widocznie zmienili swe zapatrywania. Wystąpili oni na wspólnem posiedzeniu z wnioskiem, aby oba kluby łącznie zajęły wobec rządu stanowisko, zmuszające go do cofnięcia owych nominacyj lub przynajmniej do zaniechania podobnych kroków w przyszłości. Na szczęście, tym razem znów stronnictwo Plenera, nie będąc zainteresowane bezpośrednio, potrafiło zachować krew zimniejszą. To też Plener wobec tych propozycyj zaznaczył silną pozycyę hr. Taaffego, opartą na osobistem zaufaniu cesarza, i nieroztropność wszelkich kroków gwałtownych. Chcąc jednak pozostać w zgodzie z hasłami tylekroć przez siebie głoszonemi, musiał w końcu wraz ze swoimi stronnikami uledz po części naciskowi ze strony grupy Steinwerderowskiej. Postanowiono więc wystąpić w obronie zagrożonych interesów narodowości niemieckiej na razie w formie łagodniejszej i udać się z przedstawieniem do hr. Taaffego. Cóż jednak, kiedy prezes gabinetu w sam czas zachorował i uparcie nie chce wyzdrowieć? Nie pozostawało tedy nic innego, tylko zastrzedz swe stanowisko oświadczeniem publicznem.

W wydziale walutowym obrady postępują raźnym krokiem. Przeszły one już ze stadyum rozprawy ogólnej w okres obrad szczegółowych nad każdym paragrafem przedstawień rządowych. Chodziło tu przedewszystkiem o porządek, w którym pojedyncze te paragrafy mają być rozpatrywane. Niemcy wystąpili z wnioskiem, aby uchwalono przedewszystkiem ustawę, upoważniającą rząd do zaciągnięcia pożyczki walutowej. Wniosek przeszedł, ale przy głosowaniu opuścili salę demonstracyjnie młodoczesi i posłowie klerykalni. Daremnie suszyłby sobie głowę, ktoby chciał znaleźć przyczynę racyonalną dla tego kroku. Jest bowiem zupełnie obojętnem zarówno dla losu całej sprawy walutowej, jak dla toku obrad samych, czy zaczynają się one od tego paragrafu, czy też od innego. Ale wystarczało widocznie dla posłów młodoczeskich i klerykalnych, że propozycya powyższa pochodziła ze strony niemieckiej, aby zaprotestować. Uchwalono tedy, jak wspomniałem już, przeciw nim przedewszystkiem zaciągnięcie pożyczki w złocie, a następnie, że pożyczka ta ma służyć wyłącznie celom uregulowania waluty.

Potem przystąpiono dopiero do rozpraw nad ustępem pierwszym przedstawień rządowych, orzekającym, że przyszłą stopą monetarną w Austryi ma być złota. Jak łatwem było do przewidzenia, dyskusya ta rozgorączkowała dopiero wydział cały. Powtórzyły się wszystkie sceny, których widownią była poprzednio sala parlamentu. Usłyszeliśmy znów obrońców srebra, przepowiadających państwu niechybną zgubę finansową, jeśli zaprowadzi u siebie złoto; słyszeliśmy takich, którzy oczekują zbawienia od przyszłego kongresu monetarnego i radzą czekać do tego czasu; słyszeliśmy wreszcie bimetalistów, którzy wbrew teoryom swym oświadczyli się mniej lub więcej stanowczo za stopą złota. Sprzeczność uczuć, miotających sercem wielu zwolenników przedstawień rządowych w różne strony, objawiła się w końcu wyraźnie pod postacią wniosku posła Kraińskiego. Wiadomo, że obecną jednostkę monetarną, „guldena," ma zastąpić na przyszłość „korona." Otóż, według niego, dla usunięcia wszelkich sprzeczności należałoby w projekcie rządowym zamiast słów: „stopa złota" umieścić: „stopa koronna." Według wnioskodawcy, za taką poprawką mogliby głosować bez skrupułów zarówno zwolennicy stopy złotej, jak i ci, którzy mają przeciw niej pewne zastrzeżenia. Byłby więc i wilk syty i koza cała. Klasyczne to dowodzenie daje nam doskonały przykład tego, co zaznaczyłem niedawno, że mianowicie mimo najzupełniejszej różności zdań większość posłów posuwa się, jakby niewidzialnym prądem parta, w tym samym kierunku, i że nawet ci, którzy przyznają się otwarcie do zapatrywań przeciwnych, chwytają się równocześnie jakiegoś wybiegu, pozwalającego im objawić zgodę z większością. W istocie bowiem wniosek posła Kraińskiego (jak słusznie zauważył Szczepanowski) nie ma żadnego znaczenia; o „stopie koronnej" możnaby chyba tak samo mówić, jak o stopie „rublowej" lub „markowej." Chodziło tu tylko o ominięcie fatalnego słowa: stopa „złota." A jednak za dziwacznym tym wnioskiem oświadczyło się przy głosowaniu nie mniej niż 11 posłów, co jest charakterystycznym objawem położenia. Uzyskałby on był nawet niezawodnie o wiele więcej głosów, gdyby nie stanowcze wystąpienie ministra finansów Steinbacha, który nie zawahał się postawić kwestyi na ostrzu miecza. Oświadczył on, że rząd nie mógłby w żadnym razie zgodzić się na opuszczenie słów głównych, które nadałyby całej ustawie charakter dwuznaczny wobec publiczności zagranicznej. Przeszedł tedy pierwszy i główny paragraf ustawy waluto-

---

6)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

XI.

— Pani jesteś pewnie trochę zmęczona dzisiaj wieczorem?

— Ja? O... nie. Nie więcej, niż zwykle.

— Jak się pani właściwie czujesz podczas dnia? Czy przyjmujesz wszystko ze spokojem — każdy dzień z osobna?

Trochę śpiesznie, niby wymijająco odpowiada:

— Nie mówmy lepiej o tem!

Pauza.

...*Dlaczego* nie chce mówić *o tem?* Gdyby tak wiedzieć, co w niej właściwie siedzi, o czem myśli w ciągu dnia, co ją zajmuje; jaka trawi ją tęsknota, jakie ją męczą łzy, troski, wspomnienia?.. Bo ze wszystkich jej słów zgaduję, że bynajmniej nie jest szczęśliwa. Ale skłonić ją do tego, aby mi się zwierzyła, aby otworzyła przede mną swoją duszę... Wciąż mi się wymyka. Czyżby mnie nie rozumiała?

I gniewa mnie, że dwoje rozsądnych ludzi chodzi tu tak obok siebie, pozostając sobie obcymi zupełnie.

Jakich właściwie doznaje uczuć ta młoda kobieta, wspierając się na mojem ramieniu? Czasem wydaje mi się, że opiera się silniej, aniżeli istotnie potrzeba... Szukam pozoru, aby przycisnąć ramię do jej piersi... przenika mnie rozkoszny ciepły prąd, i mówię sam do siebie: może jeden ulotny pocałunek wystarczyłby, aby lody pękły...

Lecz pocałować dziewczynę, to znaczy podpisać weksel: czy chcę, czy mogę, czy wolno mi przyjąć — następstwa?.. I nie całuję, i lody dalej leżą.

...Otóż i jestem w domu.

— Tak, wszystko się kończy.

— A pan biedny taką masz jeszcze daleką drogę.

Chwyta skwapliwie moją rękę i ściska ją miękko, z ciepłem.

— Serdeczne dzięki za dzisiaj.

— To ja pani dziękuję! Kiedy zobaczymy się znowu?

— Kiedy pan zechce. Odbywam tę przechadzkę codziennie.

— Do widzenia więc. Dobranoc!

— Do widzenia.

Zwolna zawlekam się do domu. Nie mam nic, do czego bym się miał śpieszyć.

* * *

...Nie, nie; nie pisać. Za wiele mam do myślenia.

Staje się to przyzwyczajeniem: kieliszek i cygaro, a potem spocząć na kołysance i tonąć w snach — godzinami.

...Kim ona jest? Czego chce? Co zamierza? Jakże mam się wobec tego wszystkiego zachować; przecież raz się to wreszcie zakończyć musi... Właściwie biorąc, budzi zajęcie. Jako studyum, w każdym razie. Jest dla mnie czemś nowem...

...Czy mam też postawić coś na kartę? Czy zaryzykować? Może mylę się co do jej osoby; wydaje mi się trochę dziwną; ale może jednak... gdyby raz lody przełamać... poznać ją zupełnie, do gruntu?.. Może jednak jest — nie tyle w części — ale wogóle, w całej swojej istocie — kobietą, z którą mógłbym wyżyć. Bo i ja przecie jestem trochę nie taki, jak inni ludzie...

I siedzę godzinami, i ważę te same pytania znowu i znowu, bez końca i bez początku. Rezultat jest zawsze negatywny; lecz gra nie traci uroku. O drugiej kładę się do łóżka, aby wstać nazajutrz, drżąc wszystkimi nerwami.

Nie, nie pisać...

* * *

(Niedziela wieczorem).

Ten Kraale jest przeklętym pesymistą.

— Jacy oni naiwni, ci „cyganie!" — zaświergotał dziś wieczorem u Jonatana. Myślą, że małżeństwo może być „oparte na miłości"; czy to słyszane rzeczy? Cóż to jest miłość? Nic innego, tylko pewien niedostatek, pragnienie... albo jaką tam wreszcie wybierzemy nazwę... No, a chyba napiwszy się, nie ma się już pragnienia?!

— Th — odparłem — jeżeli wino dobre, pragnienie wzrasta w miarę picia.

— Tak, lecz jeżeli pije się więcej, aniżeli wymagało pragnienie, następuje niesmak; jest to fizyologicznie uzasadnione.

wej w końcu większością 29 głosów przeciw 11.

Przy tej to właśnie sposobności dokonali niemcy owego zwrotu, o którym wspomniałem już powyżej. Plener oświadczył w imieniu stronnictwa swego ku ogólnemu zdumieniu, że ono będzie wprawdzie głosowało za projektem rządowym, że jednak wobec kwestyi gabinetowej, postawionej przez ministra, musi się zastrzedz przeciw temu, jakoby w głosowaniu tem zawarte było votum zaufania dla rządu. Zjawiła się więc chmura na widnokręgu polityki hr. Taaffego, dotychczas tak pogodnym, a ostrożni politycy w prasie tutejszej zaczynają zawczasu już otwierać parasole. Prezes gabinetu, obdarzony szczęśliwie flegmatycznem usposobieniem, nie śpieszy się jednak bynajmniej z zażegnaniem burzy. Wie on z długoletniego doświadczenia, że w Austryi najtwardsze serca opozycyjne miękną po pewnym czasie same przez się. Czeka więc cierpliwie i zapewne po cichu gotuje już coś, czem obciąży znów stronę niemiecką i przywróci — „równowagę“ wewnętrzną.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie stwierdzono ściśle, czy Bismark prosił cesarza austryackiego o posłuchanie i otrzymał odmowę, czy też przeczuwając ją, nie narażał się bezpotrzebnie. Prawdopodobnie miał on jakąś nadzieję w tym względzie, gdyż inaczej nie byłby tak szczodrym w pochwałach i grzecznościach dla urzędowej Austryi. Rozmowa jego ze współpracownikiem *N. Fr. Presse* wywołała w Berlinie zgrozę nawet śród wielbicieli b. kanclerza. Oburzonym nie chodzi już o obrazy osobiste jego następców, ale o dyskredytowanie rządu wobec zagranicy, na co niemcy są nadzwyczaj czuli. Jeżeli taka powaga w sprawach politycznych, jak Bismark, twierdzi, że obecni kierownicy państwa niemieckiego są partaczami i lichotami, to nie byłoby dziwnem, gdyby ich również zaczęto lekceważyć w Paryżu lub Londynie.

W owacyach, wyprawianych ex-kanclerzowi podczas ostatniej podróży, uderzał szczególny objaw: urządzali je głównie antisemici i studenci. Co do pierwszych — jest to dość zrozumiałe, ale drudzy! Wprawdzie Bismark cieszy się stale ich nadzwyczajną czcią, ale wątpimy, czy po za plemieniem niemieckiem tego rodzaju człowiek byłby przedmiotem zachwytów i uwielbień tego żywiołu, znajdującego swoje ideały śród ludzi całkiem innej natury.

Cesarz niemiecki, pożegnawszy bardzo serdecznie królewską parę włoską, która już wróciła do kraju, pojechał do Szczecina, gdzie wobec niego ma być spuszczony na morze nowy statek. Po załatwieniu się z tą uroczystością Wilhelm II popłynie na północ w celach turystycznych, ale zabawi tam krócej, niż pierwotnie zamierzał, gdyż w końcu lipca ma być w Anglii. Plotkarze dziennikarscy utrzymują, że chce on rząd angielski obdarzyć rolą podjęcia myśli rozbrojenia Europy, którą powziął w naradzie z królem Humbertem. Że jest to bajka, niemająca żadnych widoków urzeczywistnienia się, każdy odrazu zrozumie.

Czy Gladstone podczas objazdu przedwyborczego dostał od jakiejś baby w twarz kawałkiem chleba, czy piernika, to kwestya małoważna; ale że w swej odezwie do narodu nie zdobył się na nowe hasło i nie sprawił żadnego wrażenia, to zasługuje na podkreślenie. Zresztą sam fakt jest bardzo naturalny. Liberałowie angielscy, jako stronnictwo polityczne, przeżyli się już i zużyli wielce, a ich przewódca jeszcze bardziej. Jest to człowiek bardzo stary, niezdolny do rozwoju, a więc i do zrozumienia zadań i potrzeb nowszego czasu. Nicuje on tylko i przerabia dawne stroje liberalizmu, które były bardzo dobre i modne przed pół lub ćwierć wiekiem, ale dziś już są przestarzałe. Ponieważ zaś torysi nieco postąpili naprzód, przeto między dwoma obozami zachodzą tak nikłe różnice w sztandarach, że zdaleka zaledwie je dostrzedz można. Gladstone wyszywa na swej chorągwi ciągle nowe prążki i punkciki, są to jednak znaki, które mają sens dla bardzo wtajemniczonych w drobiazgi wewnętrznej polityki angielskiej. Liberał może tam bardzo dobrze udawać konserwatystę — i naodwrót.

Chociaż jeden z przysięgłych w Montbrison, gdy go wylosowano, dostał ze strachu konwulsyj, inni mieli więcej odwagi, niż ich koledzy paryscy, i skazali Ravachola za zwykłe zbrodnie na śmierć. Morderca ten, który jest widocznie chory na wybuchy instynktów krwiożerczych, przyznał się tylko do zabicia pustelnika. Z brawurą lub dziwnie zimną krwią oświadczył, że byłby również zabił każdego, ktoby go mógł zdradzić. Zapytywany o pobudki, tłomaczył się „koniecznością,“ a całą winę i odpowiedzialność zwalał na „społeczeństwo.“ Jest to charakter całkiem przegniły, zbrodniarz z natury, który przybiera miny i pozory bohatera rewolucyi. To też przezydujący zrobił mu słuszną uwagę: „Nie przemawiaj w imieniu robotników, ale w imieniu morderców.“

Stronnictwo niemiecko-liberalne w Austryi utraciło głośnego niegdyś swego prowodyra — Herbsta. Jest to wszakże tylko strata — że tak powiemy — pamiątkowa, gdyż zmarły był sprzętem szanowanym, ale odstawionym.

Obie wielkie partye polityczne Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej porozumiały się co do kandydatów na prezydenta: republikanie wybrali dotychczasowego, Harissona, demokraci — poprzedniego, Clevelanda. Jeżeli zwycięży ostatni, zwycięży wraz z nim wolny handel, no i większa moralność w zarządzie kraju.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKI PRZYRODNICZE.

Fotografia barw. — Udoskonalenia w produkcyi glinu. — Olbrzymia lokomotywa elektryczna. — Metale w wysokiej temperaturze. — Badanie wnętrza ziemi za pomocą igły magnesowej.

W roku zeszłym Lippmann przedstawił Akademii paryskiej pierwsze próby fotografij barwnych; obecnie udoskonalił on metodę swoją do tego stopnia, że otrzymuje nietylko czyste barwy widma, ale i mieszane przedmiotów zwyczajnych. Oprócz

---

— Niesmak mija i pije się znowu.

— To picie nałogowe — i oto właśnie jesteśmy u rdzenia rzeczy, bratku: małżeństwo oparte jest nie na miłości, ale na przyzwyczajeniu. Nie dbają o siebie wcale, a jednak trzymają się jedno drugiego na zasadzie przyzwyczajenia, które, dalibóg, czasem jest bardzo... (wzruszenie ramion).

Jerzy Jonatan przybiera najnieprzyjemniejszą swoją minę spleenu i mówi:

— Małżeństwo jest wygodnem urządzeniem dla tych, którzy się już nie kochają.

— Na Boga — powiadam — dajcie nam spokój z tą waszą mężowską gapiowatością. Wszyscy przecież wiemy bardzo dobrze, że bywają stosunki miłosne trwałe.

— *Indeed* — mówi Jonatan — są kobiety, które genialność tę posiadają.

— Jaką genialność? — szepnął Kraale.

— Jest to kwestya taktu kobiecego — zauważył Jonatan, puszczając zwolna dym nosem — dar natury, zresztą dosyć rzadki. Wstydliwość, mylords! Ścisła właściwa miara wstrzemięźliwości — równie daleka od pruderyi, jak od pojęcia przeciwnego.

— Mężczyzna — ciągnął dalej — musi bowiem być utrzymywany w niepewności. Musi myśleć, że zdobywa piękną, że łaski jej zyskuje walką, że ją uwodzi; musi czuć się wciąż jako zwycięzca, jako wybrany, z pośród tylu a tylu rywali wybierany ciągle, na nowo. Z chwilą, gdy mężczyzna staje się swego pewnym, gra traci dlań zajęcie; gdy zaś kobieta ubiega się o jego względy, litość tylko w nim budzi. Kobieta nie powinna nigdy naprowadzić mężczyzny na myśl: „Biedna! ma przecież tylko mnie!“ Kto chce mieć wysoką cenę, musi się cenić wysoko; kobiety, dobrze pojmujące tę zasadę, łapią ptaszka w sieć.

— Rozumiejące się zatem na kokieteryi — tłomaczę.

— Zupełnie słusznie.

— Nasza północna kobieta jest właściwie zbyt na to poczciwa — rzekł Kraale z uśmiechem.

Nie podobali mi się. Nędzni partacze, w gruncie rzeczy, nieumiejący poradzić sobie nawet z taką drobnostką, jak małżeństwo.

XII.

Udaliśmy się na zwykłą naszą przechadzkę — przez szosę Ljabrowską.

Fjord zamarzł. Wszędzie śnieg. Bezmiarem, próżnią ziewa olbrzymi obszar śnieżny przez szarzejące światło zwierzchu.

— Takie samo jest życie — otwarta, próżna, zamarzła topiel śnieżna ze światłem zmierzchu i szarem niebem śniegowem. Smutnie to być samotnym wędrowcem w takiej pustce.

— Tak — zawołała — jak to dobrze być we dwoje! — i śpiesznie dodała: Sama bowiem nie wybrałabym się nigdy na spacer, boję się ciemności.

— Tak, to właściwość kobiet. Prawdopodobnie potrzeba obrońcy.

— Nie wiem, co to jest; lecz zdaje mi się zawsze, że mogłabym mieć jakieś widziadła — jakże to się nazywa: Hal-le-lu...

— Halucynacye, tak, tak; upiory, jak mówiono za dawnych czasów.

— No, czy też pan jesteś taki pewny, że niema upiorów?

— Życzyłbym sobie, aby istniały.

— Uf, nie — po co?

— Tu i owdzie świat jest mi już zbyt patentowy. Wszystko — tak strasznie rozumne, poprawne. Sama matematyka i siła końska. To piękne, pewnie, ale... To nawet niezwykle piękne, tak, tak... Zresztą dla pani rzecz nie przedstawia niebezpieczeństwa; pani trzymasz się przecież Boga?

— Tak, byleby m go tylko nie straciła.

— O nie. Trzymaj go pani mocno.

* * *

Ona: Czy to nie Blytt, któremu się pan kłaniałeś — malarz?

Ja: Tak, to on.

Ona: Czy to nie taki prawdziwy?..

Ja: Jaki prawdziwy?

Ona: Taki... Don Juan?

Ja: O tak, miał poczucie piękna.

Ona: Ph — cóż to za określenie?

Ja: Dosyć trafne zresztą.

Ona (zaczepnie): No, chyba rzecz tę z różnych stron rozważać można.

Ja (obojętnie): Naturalnie.

Ona: Nie tak lekko chyba biorą to ci, których unieszczęśliwił.

Ja: Nieszczęście... to takie trudne pojęcie. I ja kochałem nieszczęśliwie. Lecz przyznać muszę, że żaden z tych kilku „szczęśliwych“ stosunków, które miałem, nie zajął mnie i nie był mi w tym stopniu świętym i drogim, jak właśnie owe „nieszczęśliwe“ historye. Taka nieszczęśliwa

kilku fotografij widm, których barwy były niezwykłej jaskrawości, okazał doskonale oddane obrazy następujących przedmiotów:

1) Czterokolorowej szyby szklanej, zabarwionej na żółto, zielono, niebiesko i czerwono;

2) zbioru sztandarów francuskich i cudzoziemskich;

3) półmiska z pomarańczami;

4) różnobarwnej papugi.

Wszystkie są nietylko w barwach naturalnych, ale i doskonale modelowane, klisze zaś trwałe na świetle. Przedmioty owe zdjęte były przy świetle elektrycznem w ciągu dziesięciu minut. Czas wystawienia jest zbyt długi, aby dał się zastosować do zwykłych celów; spodziewa się jednak Lippmann dalszych udoskonaleń w tym kierunku.

Wynalazek jego polega, jak wiadomo, na wytworzeniu szeregu warstewek srebra odtlenionego, które dają barwy interferencyjne, takie same, jak te, które je wywołały. Jest on pouczającym z tego względu, że wykazuje, jak mało można polegać na sądach, wynikających nawet z niezachwianych podstaw umiejętności. Przed kilku laty, na rok przed wynalazkiem Lippmanna, jeden ze znanych profesorów niemieckich (w rozmowie prywatnej) z wielkim naciskiem utrzymywał, że fotografowanie barw jest niemożliwe. Każdy, kto zna fizykę, rozumie, że twierdzenie to miało wszelkie pozory słuszności, gdyż istotnie niema żadnego związku pomiędzy zwykłym sposobem powstawania barw (tj. wytwarzania fal eteru pewnej długości), a temi sprawami chemicznemi, które promienie światła wywołują w tafelce fotograficznej. Jednakże zjawiska to udało się związać w sposób zupełnie niespodziany, lecz na takiej drodze, która mogłaby być przewidzianą nawet na podstawie dotychczasowych wiadomości naszych.

O nowych udoskonaleniach w fabrykacyi glinu, którego cena jest dziś już bardzo nizka, zakomunikowali Akademii pp. M. Lévy i E. Tarin. Wyroby z tego metalu obecnie bardzo są rozpowszechnione w sklepach warszawskich.

Pierwszą lokomotywę elektryczną na wielką skalę fabrykują warsztaty Browna i Boverego w Szwajcaryi. Machiny dynamo-elektryczne, wprawiające ją w ruch, będą wydawały siłę 1,500 do 2,000 koni parowych; siła ta, udzielona 8-iu elektromotorom, pozwoli otrzymać prędkość, przewyższającą w znacznym stopniu szybkość zwyczajnych lokomotyw parowych.

Robert Austen przedstawił w londyńskim Instytucie królewskim nadzwyczajnie ciekawe wyniki poszukiwań swoich nad działaniem wysokiej temperatury na metale.

Przedewszystkiem zatrzymuje on się nad sposobami mierzenia jej. Wiadomo, jak są niejasne i niedokładne określenia temperatury, przewyższającej punkt wrzenia rtęci; zwykle oznaczają je wyrazami: ciemna czerwoność, jasna czerwoność, białość itd. Saint-Claire-Deville i Troost, posługując się termometrem gazowym, którego rezerwoar zrobiony był z porcelany, zdołali oznaczyć cały szereg punktów stałych (topienia i wrzenia rozmaitych substancyj), przy których pomocy można było już kalibrować pirometry. Wszystkie dane, dotyczące temperatury między 300° a 1000°, polegają na pomiarach za pomocą tej metody. Dla temperatury wyższej od 900° Violle posługiwał się cieplikiem właściwym, obliczając ją drogą pośrednią.

Istnieje jednak metoda, pozwalająca mierzyć bardzo wysokie temperatury z wielką dokładnością. Polega ona na zwiększeniu oporu przewodnika elektrycznego w miarę podwyższenia jego temperatury. Zasadę takiego pirometru wypowiedział Wil. Siemens w r. 1860. Przyrząd jego składał się z drutu platynowego, owiniętego naokoło rurki porcelanowej. Przez drut ten przepuszczano prąd elektryczny, idący do galwanometru, a regulowany zapomocą reostatu. Ogrzewając rurkę porcelanową do pewnej znanej temperatyry, otrzymuje się odchylenie igły galwanometru. W ten sposób znajduje się skala pirometru. W r. 1872 komisya, wyznaczona przez Towarzystwo brytańskie, zachwiała była wiarę w tę metodę, wykazując chwiejność punktu zera; ale w 1887 Callendar dowiódł, że przy użyciu czystej platyny i należytem jej izolowaniu od wpływów zewnętrznych, punkt zera zostaje zupełnie stały.

Austen, operując z małemi ilościami metali, zmuszony był uciec się do innej metody, zaznaczonej już przez Becquerela, a użytej przez Pouilleta, tj. do słupków termoelektrycznych. Z rozmaitych kombinacyj, proponowanych w tym celu, obrał on słupek Le Chatelier'a, składający się z dwóch drucików, z których jeden platynowy, drugi z aliażu platyny i rodium. Słupek ten, umieszczony na dnie tygielka, oddzielony jest od roztopionego metalu cienką warstwą gliny ogniotrwałej. Do temperatur wyższych od punktu topienia platyny używa się drutów z irydu i spławu jego z platyną. Stopienie tego ostatniego słupka daje temperaturę 2000°, najwyższą, jaką dotychczas zdołano zmierzyć *).

Zjawiska, które za pomocą tego przyrządu obserwował Austen, należą do trzech kategoryj. Pierwsze są to zmiany molekularne, zachodzące przy określonych temperaturach, dalekich jeszcze od punktu topienia, a którym towarzyszy wydzielanie się ciepła. Tak, gdy ogrzejemy kawałek stali do jasnej czerwoności i usuniemy następnie płomień, igła galwanometru wraca powoli w kierunku zera; ale doszedłszy do 655°, zatrzymuje się na tym punkcie przez dłuższy czas; świadczy to o wydzielaniu ciepła, podobnem do tego, jakie się odbywa podczas krzepnięcia. Jest to zarazem chwila, od której zaczyna się działanie ostygającej stali na igłę magnesową. Zmiany molekularne, zachodzące w tej temperaturze, gdy zostaną wstrzymane przez nagłe oziębienie, powodują hart stali. W tej temperaturze również zachodzi zmniejszenie elastyczności stali. Jeśli zawiesimy na pręcie stalowym poziomym taki ciężar, który przy rozżarzeniu do czerwoności nie powoduje żadnego dostrzegalnego zgięcia, i pozwolimy prętowi stopniowo ostygać, zauważymy nagłe wygięcie się, gdy temperatura opadnie do 650°.

Drugiem zjawiskiem jest połączenie metali, posiadające wszystkie cechy prawdziwych związków chemicznych. Stapiając 78 części glinu z 22 cz. złota, otrzymujemy spław barwy purpurowej. Osobliwością, wyróżniającą go od wszystkich innych spławów, jest ta, że temperatura topliwo-

*) Najniższa temperatura, otrzymana dotychczas, jest 200° niżej zera; tylko 73° brakuje do 0° bezwzględnego.

---

miłość, to coś, co daje duszy polot — jej wspomnieniem żyć można parę jeszcze lat potem. Miłość — to wogóle tylko miłość nieszczęśliwa.

Ona (krótko, gniewnie): Piękne gadanie.

Ja: Ale prawdziwe.

Ona (po krótkiej pauzie): Pan, pan nie zostałeś przecież z dzieckiem i z hańbą.

Ja: Jeżeli istnieje kobieta, wstydząca się, że jest matką dziecka, zasługuje, żeby poszła wprost do piekieł.

Milczenie.

* * *

— Optymiści — cóż to jest właściwie?

— No, ludzie, wierzący w dobro, w zwycięztwo dobra itd., znajdujący wogóle, że świat jest piękny.

— W takim razie jestem optymistką — co najmniej teraz. A pan?

— Th, prawdopodobnie świat mógłby być jeszcze gorszy. Krótko mówiąc, jedno z dwojga: albo człowiek żegna się ze światem, albo dostraja się do świata; narzekanie na nic się przecież nie zda. *Bek*, jak mówi Jerzy Jonatan.

— To zupełnie słuszne.

— Ci optymiści — to niezmiernie poczciwi ludzie, pożyteczni. Bez nich nie daleko się zajdzie. Ale, z drugiej strony, są przecież trochę płytcy; myślą niebardzo głęboko, czasem nawet trochę wązkowato. O, to ludzie, którzy nie mają odwagi spojrzeć rzeczywistości w oczy, otulają się tedy w różne wiary, i nadzieje, i miłości, byle tylko usunąć od siebie rzeczywistość...

— Dobrze, ale w coś wierzyć wreszcie trzeba!

— Należy wierzyć w siebie, o ile można najdłużej.

— O, któż tak wierzyć może?

— Może, kto musi.

— Nie wiem!

* * *

— Więc pan sądzi, że gramy wszyscy przed sobą komedyę?

— Naturalnie.

— A gdybyś pan miał np. kogoś, kogobyś pan serdecznie kochał?

— Kłamałbym, aby być zajmującym, a gdyby miłość minęła, kłamałbym, bo nie miałbym już ochoty rozbierać się przed tem stworzeniem.

Pauza.

— Przed sobą samym — dodałem — kłamie się oczywiście najwięcej. Poprostu jest się do tego zmuszonym. Wejrzeć w siebie i widzieć się „takim, jakim się jest" — to zbyt byłoby wstrętne. Oszaleć by po prostu można. Nie; lecz nazewnątrz własnego „ja" postawić sobie taką figurę, istotę, która wie wszystko, tak, że na nie się zda granie komedyi, istotę, która wszystko pojmuje, tak, że niema niebezpieczeństwa, jeżeli pozna się na naszych wybiegach — to istotnie myśl przebiegła!

— Gdybym tylko na pewno wiedzieć mogła, czy istnieje, czy też nie?

— Pocóż pewność? Dosyć to obojętne, czy istnieje, czy też nie, byleby człowiek wymógł na sobie — przekonanie.

— Czyż nie widzisz pan, że bierzesz mi wiarę, twierdząc coś podobnego?

(Wzruszenie ramion).

* * *

— Mógłbyś mi pan doprawdy opowiedzieć coś o tych przedziwnych rzeczach, które wywiodła nauka.

— Jeżeli pani tak stawia kwestyę... Chyba nie wymagasz, iżbym ci mówił o telefonie i analizie spektralnej?

— Nie, to pewnie nie najważniejsze...

— Co się tyczy cnoty i nieśmiertelności, nauka nie zajmuje się już tymi przedmiotami. Są to zagadnienia dla chłopów.

— Hm... może być!

— Jeżeli się pani pyta ogólnikowo, co stworzyła nauka, najprędzej odpowiedzieć jeszcze mogę negatywnie: dowiodła, że to, i owo, i tamto *nie* jest takiem. A to samo jest również ważne.

— Tego nie rozumiem.

— Dlaczego! Za każdem stwierdzeniem jakiejś nowej niewiedzy, człowiek zdziera z siebie pewną warstwę głupoty.

Śmiech.

— W ten sposób w końcu byłoby się dosyć gruntownie odartym.

— Tak, tak; oskubią człowieka prawie na łyso!..

XIII.

(Luty, 85).

Dlaczegóż męczę ją tem badaniem o jej dawne życie itd. — Bóg raczy wiedzieć. Bardzo to śmieszne. Nie mam przecież

ści tego połączenia na kilka stopni przewyższa temperaturę topliwości złota, podczas gdy zwykle spławy topią się łatwiej, niż topliwszy z wchodzących w ich skład metali. Dalej spław ten, nie zważając na wielką zawartość złota (więcej od $^3/_4$), łatwo rozpuszcza się w kwasie solnym, który wcale nie działa na złoto. Mamy więc tu zupełnie nowy metal, którego skład odpowiada formule $AuAl_2$ (atom złota na dwa atomy glinu).

Trzeci szereg stanowią zjawiska rozpuszczania się metali w innych metalach roztopionych. Doświadczenia w tym kierunku wykazują zupełne podobieństwo pomiędzy metalem rozpuszczonym w innym, łatwiej topliwym, a zwyczajnymi roztworami w cieczach. Jeśli do roztopionego ołowiu dodać trochę złota, to ostatnie rozpuszcza się w niem i zostaje jednostajnie rozdzielone w całej masie, nawet po zastygnięciu ołowiu. Jeśli do roztopionej mieszaniny dodamy trochę glinu, nie rozpuści się on w całej masie, ale połączywszy się ze złotem, utworzy wyżej wzmiankowany związek purpurowy, który wypłynie na powierzchnię tygielka, tak samo, jak otrzymujemy np. osad, dolewając roztwór jednej soli do drugiej. Lecz najbardziej godnym uwagi jest fakt, że metale, rozpuszczone w innych, zdają się wykazywać podobne stosunki, jakie prawo Vant-Hoffa przypisuje roztworom zwyczajnym, oraz że obniżenie punktu topliwości w spławach zdaje się być wynikiem ciśnienia osmotycznego; innemi słowy, znaczy to, że masywny kawał ołowiu nie okazuje większej przeszkody ruchowi cząsteczek rozpuszczonego w niem złota, niż gaz, zajmujący przestrzeń ruchowi cząsteczek innego gazu. Złoto, rozpuszczone w ołowiu, zachowuje się tak, jak gaz w próżni. Nasze potoczne wyobrażenia o zapełnieniu przestrzeni przez materyę będą musiały uledz wielkim zmianom.

Nie mniej godne uwagi są doświadczenia nad uproszczeniem budowy cząsteczkowej metali pod wpływem wysokiej temperatury, które podają autorowi tych prac nadzieję, że uda się zmieniać same atomy chemiczne.

Jeśli doświadczenia, o których mówił Austen, zdają się nadawać pewne prawdopodobieństwo marzeniom alchemików, to nowsze poszukiwania nad związkiem kierunku igły magnesowej z budową geologiczną ziemi przypominają bajki o laseczkach czarodziejskich, za których pomocą można poznawać pokłady metali lub żyły złota. Skoro połączymy na mapie między sobą punkty, w których igła magnesowa posiada jednakowe zboczenie, otrzymamy tak zwane linie izogoniczne. Dopóki spostrzeżenia magnetyczne robione były na znacznych odległościach, linie te, zdawało się, przebiegały dość regularnie. Lecz gdy pomnożono ilość spostrzeżeń, wykryto cały szereg nieregularności w przebiegu linij izogonicznych. Nieregularności te można by było przypisać obfitym pokładom żelaza w tych miejscowościach, gdzie dają się widzieć. Taka zapewne jest przyczyna zakłóceń w Skandynawii, gdzie nawet posługują się igłą magnesową dla odkrycia pokładów rudy żelaznej. Wszelako nieregularności, które zostały odkryte na północy Francyi (głównie dzięki poszukiwaniom p. Mourcaux, rozpoczętym w 1890 r.) i inne dawniej znane w Japonii, koło zatoki Hudsona, w Indostanie, Alpach itd., mają zgoła inny charakter. Wychylenia te linij izogonicznych są skutkiem wielkich załamań i przesunięć kory ziemskiej, dzięki którym następuje zetknięcie się warstw niejednakowo łatwo przewodzących elektryczność. Każda taka raptowna zmiana przewodnictwa elektrycznego powoduje zaburzenia w przebiegu linij izogonicznych. Temi więc zaburzeniami można się posługiwać dla oznaczenia osobliwości w budowie kory, które nie są wcale dostępne dla oka, i to tem pewniej, że, jak okazują doświadczenia, pokłady żelaza, leżące w głębi ziemi, wywierają bardzo nieznaczny wpływ na igłę magnesową.

Jeśli niejednostajne przewodnictwo stałych części kory powoduje zmiany kierunku linij izogonicznych, to oczywiście jeszcze w większym stopniu powinny je wywołać masy roztopionej lawy, zapełniającej szczeliny. Tłomaczy to nadzwyczajną nieregularność tych linij w Japonii, a zwłaszcza u wschodnich wybrzeży Madagaskaru, gdzie żeglarze wcale nie mogą posługiwać się busolą. Godnem uwagi jest i to, że M. Bertrand, szukając w ogólnych zarysach kierunku wielkich przemieszczeń, odpowiadających zmarszczkom kory równikowym, znalazł, że odpowiadają one prędzej południkom magnetycznym, niż astronomicznym. Rzucałoby to pewne światło na przyczynę rozmieszczenia biegunów magnetycznych.

Wł. M. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

J. Peladan. *Le Panthée*. Paryż, 1892.

„Panthée“ — to poemat złota. Zola, pisząc „Pieniądz,“ napiętnował złoto, jako pokusę do wszystkiego złego, zbrodni i występku, morderstwa i cudzołóstwa. Peladan z innej strony rzucił na nie światło.

Nie nurzając się w błocie, jak Zola, dał mimo to obraz nie mniej przerażającej potęgi lśniącego metalu, jego złowrogiej mocy. Nie mamy tu zabójstw i oszustw, ale widzimy, jak brak monety, nie grubej już i ciężkiej, lecz drobnej, zdawkowej, na najniezbędniejsze wydatki potrzebnej, najszlachetniejsze jednostki strąca w przepaść moralnego upadku, popycha do sprzedawania się. Bez tego grosza życie staje się męką, na młodość i miłość opuszcza się ciężka, gniotąca chmura smutku, a w krew i myśli wsącza się jak trucizna czarna rozpacz, i zakaziwszy wszystkie soki odżywcze, zabija nareszcie życie...

Purpura nieba wieczornego powleka się fioletem, morze, jakby uśmierzone łożącą się nań nocą, milknie i cicho głaszcze skąpane w jego nurtach brzegi. O kilkanaście kroków od morskiej toni usiadł młody muzyk-poeta i odczytuje swą pieśń złota. „Symbolu doskonałości, syntezo wiedzy, metalu wszechmocy — czyta on — ty jesteś bogiem ziemi. Ciebie szukają uczeni, za tobą płyną przez oceany statki. Jednego twego promyka starczy do zwabienia ludzi, jeden twój błysk odrywa tysiące rodzin od ognisk, od pól ojczystych. Ciebie potrzeba posiadać,

---

praw żadnych. Żadnego zamiaru. Poprostu nie mogę się od tego powstrzymać.

A im mniej opowiada, tem staje się ciekawsza. Jasne, że muszą tam być jakieś rzeczy, które przede mną ukrywa — i dlaczegóżby właściwie ukrywać ich nie miała? Jednak właśnie na tym punkcie *muszę* mieć wyjaśnienie. Pytam i grzebię, przesłuchuję i przesłuchuję znowu, używam sposobów moralnych i różnych innych sztuczek śledczych... nizkie to, pogardy godne; lecz cóż mam czynić?

Bo ona jest bardzo przebiegła, ta mała. Opowiada mi rozmaitości, które mnie nie obchodzą; przekrada się po za bajkami o krewnych i znajomych, o głupstwach w stowarzyszeniu kobiet i t. d.; omija sieci, które na nią zastawiam, ze zręcznością, która mnie w podziw wprowadza. Albo w najwyższym stopniu jest niewinna, albo też — ponieważ trudno to jakoś pomyśleć o tak dorosłej i nie - cieplarnianej pannie — ma więcej doświadczenia, aniżeli mogłoby mi być miłem.

Czy wie np., w jakim stopniu wszystko to niepewne, cały ten pół - mrok, — wątpliwość, najeżona możliwościami w różnych kierunkach — w jakim stopniu wszystko to zagrzewa ciekawość mężczyzny, drażni jego wyobraźnię?

Najprzebieglejszym jest jednak ten „naiwnie“ otwarty ton, w którym mi opowiada o różnych swoich „przyjaciołach“ i „kolegach.“ Naturalnie, że pomyśleć trudno, aby po za tymi koleżeńskimi stosunkami z młodymi ludźmi, z którymi włóczyła się po łąkach i niwach, tu i owdzie — zupełnie, jak dzisiaj ze mną — nic więcej się nie kryło. Tak, ale nasz stosunek jest przecież, dalibóg, dość chyba przyzwoity. Bez wątpienia; jednak przyznać należy, że to zasługa *moja*... Nie wszyscy owi młodzi ludzie byli tak starzy i tak cnotliwi, jak ja. Czy wiem np., co bym uczynił, gdyby mi się nagle, na jakiemś odludnem miejscu, zachciało zaskoczyć ją moją miłością? Niesmaczne; to całe ukrywanie jest haniebną kokieteryą.

Wierzy w dziesięć przykazań na dwóch kamiennych tablicach. Szczególniej w szóste, które dla młodych dziewcząt jest kwintesencyą prawa.

W naszym czasie, w czasie „Bohème,“ *to* przykazanie wciąż na wierzch wychodzi. Tłomaczę mężczyzn wedle sił, mówiąc, że to nie tak łatwe dla nich i że powinna im w tym względzie trochę pobłażać; lecz zasadnicze jej pojęcia są pojęciami z katechizmu d-ra Marcina Lutra. Monogamia w raju została ustanowioną i od owego czasu ludzie żyli uczciwie i przyjemnie, każdy ze swoją żoną i każda z mężem swoim: z wyjątkiem naturalnie pojedynczych, szalonych jednostek, które wszystkie w piekle i w mękach zasłużoną odebrali karę.

— Wiem dobrze — powiada — że jest znaczna ilość gminnych chłopców, chodzących do — wstępujących na takie rozdroża; lecz że mężczyźni, którzy uchodzić chcą za wykształconych, którzy bywają następnie w przyzwoitych towarzystwach i... z nami, innemi kobietami, mówią i... nam rękę podają... że tacy mężczyźni udać się mogą — że są w stanie — że mogą się zdecydować na pójście do takiej istoty — formalnie na myśl tę niedobrze mi się robi.

— My, kobiety, posiadamy pewne samoposzanowanie, którego wy mężczyźni wcale pewnie nie rozumiecie, czysto cielesne samoposzanowanie... tak, że wiele jest rzeczy — dla was zupełnie naturalnych — a naszej naturze wprost przeciwnych... zupełnie... nieprzezwyciężonych. A te osoby... których pan próbujesz niemal bronić — muszą być tak zepsute... wszystko ludzkie, kobiece, czyste tak pewnie w sobie stłumiły, że nic absolutnie z nich nie zostało, prócz tego... tego... trupa. I tu pomyśleć, że — uf!! Nie, nie, niech pan nawet nie usiłuje tłomaczyć czegoś podobnego, panie Gram!

Drażni mnie swojemi luterańsko-ewangielickiemi pojęciami, póki się nie zirytuję i nie podam jej dozy historyi moralnej. Potem gniewa mnie, żem jej wszystkie te brzydkie rzeczy opowiedział; nie można wiedzieć, jakie działanie wywrzeć mogą na umysł zupełnie nieprzygotowany prawdy tak gwałtowne; w każdym razie mogą ją wiele zwalać... prawda wogóle tak jest częstokroć brudną, że natury subtelniejsze chronić od niej *należy*. Lecz cóż robić? Kiedy te subtelne natury, w dowód wdzięczności za ową względność, stają się niemożliwie głupie...

(D. c. n.)

aby przeprowadzać swe zamiary, bez ciebie nie można ani kochać, ani pracować.“

Z poematu bije geniusz i siła. Bihn wygłasza go z takim przejęciem, że nie widzi stojącej za nim młodej dziewczyny z oczyma antylopy. Ona wsłuchana w pieśń jego całą swą istotą, całą postawą. Dźwięki słów jego wywołują w niej podziw dla tego biednego muzyka, grającego gwoli rozrywki gościom w Kasynie.

Odgłos dzwonka kasynowego przerywa lekturę. Bihn odwraca się, jego wzrok spotyka spojrzenie Seli. Dziewczyna ucieka.

Jego poezya jednak, jak słońce zapada w głąb jej duszy i świeci tam promienna. Kiedy jej ojciec, stary generał, pozbawiony wszelkiego uczucia piękna i kochający się tylko w ślepej karności, każe przerwać grę Bihnowi, wywołującemu na fortepianie czarowne tony Wagnera, ona staje w jego obronie. Policzek, otrzymany za to od ojca, odnawia wszystkie jej dawne rany, przypomina jej cały szereg obelg, cały poczet uderzeń, któremi ojciec karcił swoją jedynaczkę. Zbolała szuka ukojenia, wybiega nad morze. Tu spostrzega wpatrującego się w dal Bihna, zbliża się do niego, jakiś czas oboje milczą, potem wszczyna się rozmowa. W sercu Bihna rodzi się miłość. Sela również czuje, że tylko on może jej przynieść szczęście i swobodę. Przyrzekają sobie zwalczyć zapory i bez względu na wolę rodziców zawrzeć związek małżeński. Bihn dostaje od znajomego kompozytora Busarda zamówienie na operetkę z zastrzeżeniem — że Busard ogłosi ją jako swoją. On gardzi pisaniem operet, nie chciałby nawet przyznać się do tego, że tworzył podobne nędzoty; zgadza się więc na propozycyę: za 5000 franków dorabia muzykę do udzielonego mu tekstu. Tymczasem list do Seli przejmuje ojciec; Sela pada za to ofiarą jego brutalności, zostaje napadniętą w łóżku przez generała, a skatowana i zbita, ucieka do poblizkiego klasztoru, gdzie ją przedtem wychowano. Stąd nie chce wrócić do domu, zrywa z rodziną i poślubia kochanka.

Bihn wywodzi swe pochodzenie od królów Armoryki, jego przodkowie mieszkali w zamku średniowiecznym, z którego jeszcze teraz sterczą trzy wieże i schody jeszcze pną się zuchwale przez walące się mury. Bihn naprawia jedno skrzydło zamku i w odnowionych ruinach zamieszkuje ze swą żoną. Pierwsze miesiące zbiegają im w pieszczotach, odgłos pocałunków rozlega się po samotnych salach, ale od jesieni niebo zaczyna się zaciągać chmurami. Busard donosi, że tony okazały się zbyt poważnymi, że kilku krytyków bąknęło: na Busarda to rzecz za dobra, i że wobec tego on więcej zamówień dawać nie będzie. Do operetek trzeba kompozycyi prostych, lekkich, takich, aby po dwu wieczorach cały Paryż umiał je śpiewać, nie fal złożonych, burzliwych.

Sela pociesza Bihna. On traci nadzieję co do przyszłego utrzymania się, ona pocałunkami rozpędza chmury z jego czoła. „Nie smuć się, tyś geniusz — mówi — kochamy się pod wróżbami sztuki, ona nas nie opuści. Miłość i sztuka rzucą blask na nasze smutki.“ Drugie uderzenie dzwonu troski rozlega się niezadługo: Sela ma zostać matką. Odżyć w drugiej istocie, odczuwać w jej tętnie bicie własnej krwi, czuć w jej duszy swoją — to najwyższa rozkosz; lecz widzieć, że życie to będzie zatrute boleścią, że krew tę będzie zalewało morze nędzy, że dusza ta młoda będzie cierpiała z niedostatku, to najstraszniejsza rozpacz. Więc Bihn i Sela pochylili czoła, gdy przekonali się, że nie ma wątpliwości co do jej stanu. Im dwojgu żyć będzie ciężko, cóż dopiero we troje!

Dziecko urodziło się; była to dziewczynka. Sela znowu rozwiewała zgryzoty męża. „Nie smuć się — mówiła — ty swego talentu nie możesz zniepráwiać, lecz kiedy głód rzuci się na nas i na nasze dziecko, ja będę się... sprzedawała.“

Dziewczynka rosła w oczach, robiła się pełna, zdrowa. Matka, jak anioł, roztaczała nad nią swe skrzydła, Bihn wypogodził się i zaczął tworzyć wspaniałą „Mszę dziecińśtwa.“ Wkładał w nią swój geniusz i skończył ją, kiedy Sela zrobiła nowe wyznanie. Bihn nie zmarszczył czoła, lecz głosem drżącym szepnął:

— Niech przyszły przybysz będzie błogosławiony!

Mimo pozornego spokoju jednak oboje gnębią się smutkiem. Bihn rzucił się do komponowania walców i polek, Sela ułożyła kilka kupletów. Rumieniec wstydu oblał jej twarz przy czytaniu tych wierszydeł, których by nigdy nie chciała słuchać. Dzieci i troska o nie usprawiedliwiały ją tylko w jej myśli. Lecz Busard odrzucił kompozycye Bihna, a śpiewaczki z Café-Chantantów odesłały kuplety, pisane nie w gwarze bulwarowej, lecz czystą francuzczyzną. W końcu z dawnych pięciu tysięcy franków pozostało im tylko kilka sous, opuścili więc zamek i poszli szukać szczęścia w Paryżu.

Na piątem piętrze w pobocznej uliczce znaleźli mieszkanie. Dwoje dzieci i oni dusili się w jednej izdebce, część sukien i mebli sprzedali. Smutek ich ogarnął, nie znali nikogo, a w tym pokoiku czuli się jak ptaki, z bogatej, szerokiej przestrzeni przeniesione do ciasnej klatki. Nie zbierało się im na śpiew, na śmiech; nędza mroziła w nich wspomnienia dawnej miłości.

(D. n.).

W. Bugiel.

PRZEKŁADY POETYCKIE.

II.

Henryk Ibsen. *Wróg ludu* i *Upiory*, tłomaczył z upoważnienia autora Ignacy Suesser.

Nim przejdziemy do prac, wypisanych tu w nagłówku, musimy jeszcze rzucić raz okiem wstecz, ku *Jocelynowi* Lamartine'a, dla ocenienia zasługi p. M-skiego, tłomacza. Owoż ta okoliczność, iż podjął się on mozołu, który można tylko amatorskim nazwać, dzisiaj bo sam utwór żadną miarą na wielkie powodzenie liczyć nie może — powinna nas usposobić przychylnie i pobłażliwie. Chcąc bowiem zastosować miarę ścisłą, wypadłoby niejeden urywek przekładu skazać wprost na zagładę. Wogóle robota to w wysokim stopniu nierówna. Są w niej miejsca prawdziwie artystyczne, gdzie język płynie swobodnie, rymy dźwięczą harmonijnie i nie banalnie, gdzie słownik odznacza się bogactwem i doborem wyrażeń i znamionuje wielkie oczytanie w rzeczach poetyckich, ale są znowu i takie, gdzie nieszczęśliwa *licentia*, wychodząc ze swych granic, staje się zwyczajnem niedbalstwem, którego wobec sąsiedztwa stronic pięknych nieudolnością nazwać się nie godzi. Oto parę próbek:

I wzrok utkwiony źrenicą w źrenicę,
I wymowniejsze nad słowa milczenie,
I chód niepewny, przerwany co chwila,
Chęć zostać z tobą śród osamotnienia... (str. 41).

albo:

I jam zamarł na miejscu, w boleści bez granic,
I co się dalej stało — *nie wiem już nic a nic.*
(str. 233).

A to, czy nie brzmi po częstochowsku:

Zapytasz może, z czego mam tu utrzymanie?
Jużem sam sobie nieraz czynił to pytanie. (s. 201).

Gdzieindziej spotykamy przykre kakofonie w rodzaju:

Obraz Pana, którego służba mię zatrudnia,
Druh Boski, *co* sam jeden tę pustkę zaludnia;
Co gdy *co* chwilę k'Niemu zwracam smutne oczy
itd. itd. (str. 200).

pomijając już dwuznaczność pierwszego wiersza, który robi wrażenie takie, iż służba, np. lokaje, oficyaliści Pana Boga zatrudniają Jocelyna, kiedy tymczasem poeta ma tu na myśli służbę kapłańską Jocelyna *u Pana.*

Błędów tym podobnych, niedokładności i dysonansów nie brak w książce, i rażą one tem bardziej, iż tło ogólne obfituje w momenty nadspodziewanie udatne, że wspomnimy dla przykładu opis krajobrazu zimowego w górach.

W każdym razie, ponieważ *Jocelyn* nie należy do dzieł, które, jak pisma Goethego, Shakespeare'a lub Byrona, tłomaczone bywają wielokrotnie, i możemy być spokojni, iż p. M-ski spółzawodnika w przyszłości nie znajdzie, przeto i ten nabytek zasługuje na kącik gościnny w naszych bibliotekach, o ile naturalnie czytelnik nie obejdzie się z książką po wandalsku, nie wywrze na niej złości. A tej napewno nie omieszka wzbudzić w każdym umyśle silniejszym bohater-safanduła, który śmie równać się z Chrystusem (O Chryste! jak ty niegdyś czułem pot konania) na tej zasadzie, iż skazał się na piekielne udręczenia cnoty wobec okrutnych harpij dostępnej i odwzajemnianej miłości. To mi także idea męczeństwa...

Odrazu w czasy nowe, stanowcze i mężkie przerzuca nas nazwisko Ibsena. Księgarnia O. Zukerkandla w Złoczowie, naśladując Reclama z Lipska, wydaje „Bibliotekę powszechną,“ w której obok mnóstwa plew trafia się i tłuste ziarno. Za takie uważamy dramaty głośnego pisarza szwedzkiego, tłomaczone wprawdzie przez p. Suessera nie z oryginału, ale gładko i wobec dokładnej jego znajomości niemieczczyzny dokładnie. My już chyba nie dożyjemy owych czasów, kiedy wydawcy polscy wzorem zagranicznych będą mieli do usług — znawców wszelkich literackich języków. Zadawalać się musimy przyswajaniem jedynie myśli, poglądów, ideałów, kwitując z maniery stylowej, z wielu subtelnych rysów oblicza duchowego, które w takim zabawnym bądź co bądź dziwolągu, jak przekład z przekładu — znikają.

Co do nas, to osobliwie skorzy jesteśmy do rezygnacyi, gdy w naszych oczach puszcza kto w obieg, między tłumy czytających, i przytem w taniem wydaniu taką świeżą, pokrzepiającą nowalię, jak *Wróg ludu.* Rzecz jasna, iż nowalia to tylko z miejscowego punktu widzenia. Bardziej na zachód wciągnięto ją już dawno do indeksu dzieł, które jak słupy wiorstowe znaczą sobą drogę postępu szlachetnych godel społecznych, lub jeśli kto woli, ścielą się jak trupy, po których poznać możemy plan bitwy, stoczonej z demonem dawnych podłości. Trudno bowiem dziś określić, czy my święcimy tryumf światła, czy mroku, a skutkiem tego i wybitny symbol tych zapasów, *Wróg ludu* Ibsena, doznaje losów zmiennych. To go witają radośnie bojownicy prawdy i dobra, to go jeszcze głośniej wyklinają zbiry samolubstwa i ciasnoty moralnej. Bodaj czy tym ostatnim nie udaje się zagłuszyć tamtych, co wszakże nie powinno osłabiać usprawiedliwionego zadowolenia ludzi szerszych, iż na naszym gruncie ukazały się właściwie aż dwa przekłady tej sztuki.

Niechaj się dobrze dzieje obydwu. Powodzenia tego pragniemy z głębi serca, choć w łatwość i szybkość jego niebardzo wierzymy. Doktór Stockman, ów zacny, zapalony pionier prawdy i dobrobytu swego miasta, okrzyczany przez zgraję małodusznej i spodlonej samolubstwem burżuazyi — „wrogiem ludu,“ jest przedstawicielem takich idei, których poczucie słabe, ledwie że u nas kiełkuje. Nie wszyscy więc może zrozumieją odrazu całą donioslość faktu, udramatyzowanego w utworze Ibsena. To nie zwyczajny, odwieczny bohater cnoty obywatelskiej lub rodzinnej, który musi się opędzać intrygom, chciwcom, zaprzedanym

duszom i w końcu zwycięża lub pada. To pospolity dosyć okaz uczciwego i wykształconego lekarza i działacza, który kocha namiętnie swą naukę, zrobiwszy raz hygieniczne odkrycie, pieści się niem i dzieli z całym światem ku jego pożytkowi i wcale a wcale nie pozuje na męczennika lub aspiranta do sławy europejskiej. Pracuje i obraca się na terytoryum ograniczonem, w niewielkiem mieście, jego mieszkańców uważa za naród, jego zdrowie i szczęście za metę swego powołania.

Ale ten nie nadzwyczajny wcale człowiek przedzielony jest jednak od swego otoczenia, od reszty zwyczajnych ludzi nieprzebytą otchłanią, bo nie nasiąknął bynajmniej moralną zgnilizną, nie pisze się na mieszczańską etykę, nie jest wcale „porządnym“ wedle modły rozmaitych podpór społeczeństwa. Nie umie on paktować z fałszem i obłudą; gdy raz przekonał się, że zamiast zdrowia pacyenci, przybywający do lecznicy, wynoszą z niej w swem ciele gorszą jeszcze chorobę, a to dzięki zarażającej bliskości pewnych fabryk—wówczas nie pomogły niczyje prośby ani podstępy. Wszyscy się spiknęli, ażeby prawdę ukryć pod korcem celem niby to oszczędzenia miastu rujnujących wydatków na kanalizacyę, dla uniknięcia dłuższej przerwy w wyzyskiwaniu gości, oraz żeby nie psuć sobie geszeftu rozgłoszeniem o pobudkach tych reform. A więc własny brat Stockmana, burmistrz podstawia mu co krok nogę, ściąga nań dymisyę od zarządu kąpielowego i spotwarza łotrowsko przed opinią; teść garbarz, truchlejący o swoją fabrykę, wydziedzicza go; dziennik miejscowy, który pod pozorem miłości ludu, węszy troskliwie, skąd wiatr wieje, byleby tylko zdobycz dla siebie wypatrzyć i wdaje się w najbrudniejsze sprawki, nie chce drukować złożonego już artykułu—i właściciele domów i cały ogół, słowem wszyscy. A kto się tknął go, był z nim związany lub mu życzliwość okazał, upadł wraz z nim: synów wyrzucono ze szkoły, córce, nauczycielce, wymówiono posadę, przyjacielowi, kapitanowi statku handlowego — to samo.

Brzmi to niemal tragicznie, nie prawdaż? A jednak *Wróg ludu* wcale ponurym nie jest. W nim nie złowrogie potęgi lub czynniki osiągają swój cel, lecz motłoch jednostek maluczkich wstrzymuje na pewien czas wyklucie się prawdy. Śród nieprzyjaciół d-ra Stockmana widzimy nie skrytych łajdaków, lecz wierzących we własną uczciwość ojców miasta, którzy działają w imię dobra publicznego w imię „większości liberalnej,“ sytych i zaopatrzonych, a przeto mogą swej sprawy bronić otwarcie. A z takich przecie składają się już nie tylko drobne wiece w rodzaju tego, na którym światły lekarz walczy z ogłupionym przez liberałów ludem, lecz całe dzisiejsze parlamenty. A jeśli nawet znajdzie się śród tej większości wyjątek prawy, to musi się on poddać wyrokowi stronnictwa, boi się go, tak jak się boi własna Stockmana żona. Ibsen jakgdyby postawił sobie za zadanie zedrzeć zasłonę z mechanizmu psychologicznego, którego dziełem jest przewaga burżuazyi. Fakt, dobrze znany dzisiejszej nauce państwowej a będący podwaliną dobrej tuszy ludzi porządnych, punktualnych i umiarkowanych, oświetlił on ze strony zakulisowej i pokazał jak to skutkiem tchórzostwa, obawy o własną skórę — dokoła opozycyonisty tworzy się stopniowo próżnia.

Jest to zatem idea nawskroś nowa, spółczesna, lub może nawet idea przyszłości dopiero. Ażeby módz ją podłożyć pod dramat, trzeba było najpierw odczuwać wyraźnie tętno epoki, którem ona słabo jeszcze uderza, a powtóre mieć specyalny, wybitny dar scenizowania, wprawiania w żywy ruch i wcielania w barwne postacie takiej suchej myśli przewodniej, jak psychologia stronnictwa.

Ibsen we *Wrogu ludu* wykazał, iż posiada w stopniu wysokim oba warunki. Nie należy, co prawda, dawać się unosić własnym pragnieniom i przypisywać mu polot czysto socyologiczny. Nie — poeta ten czuje nie jak trzeźwy, krytyczny publicysta, lecz jak marzyciel-moralista. Oburza się on głównie na karłowatość dusz zajęczych i krecich w społeczeństwie, bo to obraża jego ukochany ideał cywilnej odwagi, szczerości, prawdy, siły moralnej, nieskrępowanego niczem indywidualizmu, co wszystko niemcy dosyć trafnie nazwali *Lebenswahrheit*. Ale swoją drogą, Ibsen pojmuje też doskonale i unaocznia, jak *się robi* większość, jak podłota swą maskę zacności bierze wprost z rąk dzisiejszego ustroju opinii powszechnej i zbiorowego życia. Gdyby jego Stockman wraz ze sferą nie trącił tak bardzo partykularzem, gdyby polem walki był grunt jakiego większego ogiska cywilizacyi, we *Wrogu ludu* tysiące czułyby swego krewniaka i symboliczny wyraz całej dzisiejszej atonii społecznej.

Godzi się wreszcie nadmienić, że akcya posiada chwile wielkiego ożywienia, jak zebranie ludowe, konszachty burmistrza z drukarnią, rozprawa Stockmana z redaktorami, którzy przyszli po łakomy kąsek, a ledwie cało uciekli, obok wielu innych epizodów szczerze komicznych lub szczerze dramatycznych. Widać, że to pisał dyrektor teatru i umysł jasny. Ibsen dziś już tak komponować nie umie i wpada w mglistość i tajemniczość. W utworze, o którym mowa, ma on siłę i dosadność zwrotów, czyniące z nich pyszne aforyzmy. Kiedy Joanna, żona doktora, filisterka, której widok reszty świata zasłoniło ognisko domowe, boleje po scenie ulicznej, że poszarpano mu najlepszy surdut, Stockman odpowiada:

— W walce o prawdę nie trzeba nigdy wdziewać porządnej sukni.

A gdy go opuścili wszyscy, dokonywa on wielkiego odkrycia.

Joanna. Znowu odkrycie?

Stockmann. Tak jest! (skupia około siebie wszystkich i mówi z tajemniczą miną) Słuchajcie: najpotężniejszym człowiekiem na świecie jest ten, który stoi *sam!*

Słowa te wyszły z serca, które się nieraz krwawiło widokiem filisterskiej ohydy. Smutna to, ale konieczna pociecha. Dobrze jest mieć ją w zanadrzu, bo dużo jest zarażonych źródeł do zasypania.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŻYCIE A LITERATURA.

II.

Orzeszkowa w jednym ze swych dawniejszych utworów idealizuje parę rodziców. Jak życie ich całe jest szare i bezbarwne! Celem wszystkich ich myśli, ogniskiem wszystkich ich westchnień jest puszka, gdzie rzucają od czasu do czasu zaoszczędzone grosze dla syna, dopóki nie wyrośnie. Żona pokryjomu przed mężem wsuwa kilka kopiejek, które urwie od obiadu, mąż gratyfikacyę, którą otrzymał, a o której nie wspomniał w domu. Wiele lat, wiele, wszystkie nici ich życia drgają tylko tem staraniem; wszystko, co wydobywa ich myśli za brudny bieg życia codziennego, wszystko toześrodkowało się w kulcie owej Puszki. A cześć dla tej skarbonki doszła do takiej wybujałości, iż nawet przyszły uniwersytet syna zbladł przed wrażeniami, dostarczanemi przez składanie ofiar na tym ołtarzu oszczędności. Otóż takie nabożeństwo nosi w swojem sercu każdy członek dzisiejszych zaścianków ekonomicznych, gdzie nowoczesne środki dochodzenia do majątku nie rozpanoszyły się jeszcze. Jeden oszczędza w pończosze, ażeby z czasem dokupić nieco gruntu, inny składa do kasy publicznej, żeby na starość mógł tylko spać bez przeszkód i trawić. Lecz cóż te wszystkie oszczędzające istoty świata drobnomieszczańskiego — te pracowite mrówki, jak z ubliżeniem dla rzeczywistych mrówek zowie tych czcicieli Puszki złotousta rzesza adwokatów wielkiego kapitału, zachęcająca ich do tem większego gromadzenia funduszów na użytek drapieżnych wilków giełdowych—cóż, powtarzam, wszystkie to stworzenia dwunożne, wyszkolone w ciułaniu groszów, zaprzątnięte ładowaniem pończoch lub skarbonek i w tym ideale znajdujące to, czego bohaterzy Byronowscy napróżno szukali po całym świecie — godziwego celu życia, co czyniłyby, gdyby je przesadzono w inne czasy, chociażby w okres gospodarstwa naturalnego, kiedy pieniądz był jeszcze nieznany, kiedy nie wiedziano, czem jest dzisiejsza niepewność jutra, a krótkotrwałość produktów zmuszała do trwonienia ich, nie zaś gromadzenia? Czy dla tego rodzaju zabiegów ślimaczych znalazłoby się podówczas jakieś miejsce? I cóż poczęliby z sobą tegocześni czciciele Puszki w ówczesnym potoku życia? Zresztą już dzisiaj kult oszczędności stał się arcysłabym orężem we wzajemnych wyścigach o majątek. Prorocy mieszczańscy, z Ludwikiem Filipem stanąwszy we Francyi u steru władzy, wyrzekli do społeczeństwa owo pamiętne hasło: *Enrichissez!* — tem samem dając do zrozumienia, że nie awanturnicze wyprawy warchołów feudalnych, ani też rojenia humanitarne uczucia społecznego są celem życia zbiorowego, ale gromadzenie majątków. Otóż jeszcze podówczas oszczędność była najlepszym środkiem do spełnienia tej zapowiedzi. Natomiast dzisiaj, w ogniskach rozszalałych pląsów Pieniądza, zamiast oszczędzania, reklamę ze spekulacyą wysunięto na plan pierwszy. Żaden uprawiacz geszeftu i czciciel Mamony nie będzie trzymał się starodawnych zasad wstrzemięźliwości, lecz rzuci się na drogę zyskowniejszą — jak największego pomiatania pieniędzmi, jeśli ma nadzieję, iż w ten sposób zareklamuje siebie. Reklama rozsiadła się do tego stopnia, iż Mantegazza znalazł w niej etykietę, którą przyczepił do wieku naszego jako właściwą nazwę, zowiąc go wiekiem obłudy; co większa, wychowany w otoczeniu reklamy, usiłuje przedstawić cały rozwój świata zwierzęcego, jako odbywający się przy pomocy reklamy-obłudy. Filozofia przyrody odbija w sobie warunki bytu społecznego panów filozofów. Istotnie, reklama ze strony każdego, wszelkiej wielkości i wszelkiego drobiazgu, poruszających się w pląsie Interesu, jest najpierwszem przykazaniem rozwiniętego ustroju wymiennego. Wszelka firma kupiecka, produkująca i dobywająca, i wszelki kramik, adwokacki, doktorski, lub zamiast recept i paragrafów handlujący sprzedażą pieczywa, koszta reklamowania wprowadza do rubryki koniecznych wydatków procederu. Zamiast dawnego prosięcia drobnomieszczańskiego, leżącego we własnym barłogu, ukazuje się teraz paw, roztaczający swoje piórka i odurzający widzów rzekomem bogactwem. I znowu te same sprężyny, które odarły ziemianina z gościnności dawnej i zawadyactwa, zrobiły go bojaźliwym liczykrupą; zmiatają teraz z widowni życia społecznego kult pończochy, a przynajmniej rugują go na plan dalszy, wysuwając rozrzutność — już nie szczerą i otwartą, jak u staroczesnego szlachcica, lecz obłudną i zwodniczą. Dusza ludzka doznaje nowego wykoszlawienia. Życie zaczyna potrącać o inne struny natury ludzkiej i wydobywać z niej jedynie potrzebne mu dźwięki, inne zaś zapuszcza odłogiem, a psychologia zbiorowiska społecznego w dziejowym jego rozwoju jest wprost tylko kalejdoskopem takich kolejnych połamań i wykrzywień: wygórowania jednych, zaniku innych stron duchowości.

A zatem dusza ludzka bynajmniej nie odznacza się jakąś niezachwianą stałością rysów. Filister mieszczański, który zagrzązł w błocie swojego otoczenia dziejowego, wierzy, iż tylko to, co widzi przed nosem, jest rzeczą normalną, zdrową, naturalną, a całe zadanie nadskakujących mu filozofów społecznych i prawodawców etycznych polega na tak zwanem naukowem uzasadnianiu tych uprzedzeń „zdrowego“ rozsądku. Spencer wymagania tego stanu rzeczy, w którym każdy kłania się szczególnemu a nieznoszącemu czci innych bożyszczu — swojemu Ja, obwieszcza za zapowiedź bezwzględnej etyki i bezwzględnej sprawiedliwości; rzesze darwinistów społecznych usiłują dowieść, iż wszelkie uczucie wzajemnej solidarności jest szkodliwe i przeciwdziała postępowi antropologicznemu; wolnohandlowcy są przekonani, iż dopiero wtedy świat stał się cywilizowanym, kiedy zaczął wszystkiem frymarczyć, wywiesił kult oszczędności — nie zbiorowej w postaci gminnych śpichlerzów dawnej gminy rolnej, lecz indywidualnej, i wreszcie dał swobodę łaknąć wszystkiego bez możności zaspokojenia. Zgodnie z całym tym subjektywizmem wszystkie namiętności, które obecna epoka dziejowa wznieciła w duszy ludzkiej, a raczej z drobnego zarzewia rozdmuchała i naprzód wysunęła, zarówno jak i sam tegoczesny sposób objawiania owych łaknień, ogłoszono za jedynie możliwe. Nie dziw, każda żaba wysławia swoją kałużę. Obdarzmy życiem owe połamane i wykoszlawione postacie, które ukazują się jako nasze odbicie we wklęsłem zwierciadle; co pomyślałyby te potwory i jak spoglądałyby na swoje kształty? Czyż nie wzięłyby one naszych filistrów za wzór i nie uznały siebie za jedynie powolne i normalne okazy istot myślących? Zresztą filister z ustrojów, opartych na gospodarstwie indywidualnem, ze swoim kultem Mamony i swoją etyką sobkostwa znalazł namiętnych a nielitościwych krytyków — w członkach spólnictwa dzikiego. Utatuowani, ludożercy maorzy, papuańczycy z przekłutemi wargami i inne ludy, rządzące się jeszcze w życiu swojem plemienną zasadą solidarności gromadzkiej, chłoszczą nasz subjektywizm systematycznie w swoich opowieściach, przysłowiach i przedstawieniach. Cywilizacya patrzy z pogardą na te istoty bez maszyn drukarskich, iglicówek i banknotów, bez śmietnisk wielkomiejskich i domów nierządu, one zaś odwdzięczają się podobnem uczuciem względem naszej moralności, lubo pewna wątpliwość przebija się w ich krytyce, nie wiedzą bowiem, za co uważać należy maryonetki, samoporuszające się w korowodzie Pieniądza, czy za obłąkańców umysłu, czy też serca. Król wysp Tonga zapytywał razu jednego, jakim sposobem w Anglii dostaje każdy potrzebne mu rzeczy. „Kiedy dowiedział się, iż każdy to, czego potrzebuje dla siebie i swojej rodziny, otrzymuje za pieniądze, i że w obcym domu obiadują tylko ci, którzy dostali uprzednie zaproszenie, że wreszcie owe zaproszenia rozsyłane bywają jedynie tym, z kim chce się podtrzymać stosunki, uniósł się szczerym śmiechem, zaczął żartować i kpić z sobkostwa i liczykrupstwa europejczyków. Oświadczył anglikom, że na jego wyspach panują zwyczaje rozsądniejsze: każdy łaknący bowiem może wejść do pierwszej lepszej chaty, w której podówczas jest spożywana wieczerza, bez zaprosin usiąść przy misce i po bratersku jeść z niej z innymi.“ Od tej rozmowy z królem cywilizacya stała się przedmiotem nieustającego urągania pomiędzy tongańczykami. Kto wszedł do cudzej chaty, żeby głód swój uśmierzyć, mówiono doń z przekąsem: „Powinniśmy brać przykład od papalongów (tj. europejczyków), wynoś się zatem i spożywaj co masz, a my zjemy swoje.“ Starły się tutaj dwa subjektywizmy: barbarzyński tongańczyków i nasz cywilizowany, a każdy z nich występuje z całą jaskrawością. Tongańczyk, zapatrzony w widnokręgi swojego barbarzyńskiego spólnictwa, gdyby aż nazbyt boleśnie na własnej skórze nie doświadczył, iż istnieje jeszcze inny porządek społeczny, dowodziłby, iż natura ludzka jest już tak stworzona, że zna i znać może jedynie oszczędzanie gminne w postaci śpichlerzów, a po za tem nieograniczone marnotrawstwo osobnicze, że nigdy nie wyżyłaby w atmosferze innych stosunków ekonomicznych, i że spólnictwo jest jedynie normalnym i wrodzonym stanem ludzkości. Filozof mieszczański oświadcza to samo, a cała różnica polega na tem, iż inne namiętności ogłasza za wrodzone. Który z nich posiada słuszność i co winniśmy uważać za naturalniejsze: spólnictwo tonganczyków, czy sobkostwo papalongów? Albo też komu oddać pierwszeństwo: czy kwoce staroświeckiej z jej zwierzęco-naiwnem przywiązaniem do swego drobiazgu a wiernością względem krzykliwego i poligamicznego męża, czy też nowoczesnej mieszczańskiej kukułce, którą ogródki froeblowskie zwolniły od obowiązku wychowywania dzieci, a wzrastający podział pracy zabrał inne tak wzniosłe, według moralistów, zadanie jakiem jest doprawianie sosów i doglądanie, aby pieczeń nie wydała się zbyt twardą zębom szanownego małżonka?.. Jedno nie ulega wątpliwości, iż jakie czasy, tacy ludzie. Niegdyś przy istnieniu nizko posuniętej techniki, instynkty kwocze były warunkiem nieodzownym dobrobytu rodzinnego, a w ciągu dalszym społecznego, dzisiaj w New-Yorku stałyby się źródłem znacznej straty. Jedne i drugie są zarówno odpowiednie — właściwemu otoczeniu. W ten sposób każda epoka dziejowa posiada właściwe sobie uczucia, popędy i namiętności. Jak płynna masa metaliczna odlewa się w przygotowanem łożysku modelu, podobnie dusza ludzka rozkwita wśród określonego otoczenia stosowną treścią uczuciową. Filister w zaślepieniu wyrokuje, iż człowiek na zasadzie swojej natury żyć może tylko w ściśle oznaczonym ustroju, tj. tym, w którym on, ów mędrzec, co mniema, iż posiadł wszystkie rozumy, przebywa i rozradza się. A tymczasem czegoż już nie doświadczyła dusza ludzka w rozwoju dziejowym! Oddychała ona spólnictwem pierwotnem i kąpała się w atmosferze solidarności wzajemnej, przetrwała ustroje niewolnicze, w których przyrównano ją do dzisiejszego inwentarza na folwarku, wtłoczono ją w kajdany kastowe; dzisiaj hasa w korowodzie wszechfrymarczenia, znęca się nad szczerością i gościnnością swoich przodków i bruka się w sobkostwie. A jednak każdorazowo jej uczucia zlewały się harmonijnie z warunkami bytu; nawet niewolnik jak pies gotów był lizać z istotnego przywiązania nogi pańskie i srożył się przeciwko idei równości, póki pan nie zaczął go głodzić systematycznie, kiedy życie wniosło pierwiastki rozkładowe w ustrój ówczesny...

(D. c. n.).

K. R. Ż.

Z GALICYI.

Urzędowe sprawozdanie Inspektora przemysłowego.

Mamy pod ręką urzędowe sprawozdanie inspektora przemysłowego. Daje ono przerażający obraz stanu przemysłu i rękodzielnictwa w Galicyi.

Zacznijmy od drobnego przemysłu. Po małych miastach walczą z nędzą sami majstrowie: nie zatrudniają nawet czeladzi, co najwyżej jednego lub dwu, którzy mieszkając i będąc na utrzymaniu u majstra, dzielą z nim los jego niewesoły. W takich warunkach nie może być mowy o urządzeniu warsztatów, jak tego według ustawy domagaćby się należało. Po większych miastach, a nawet stołecznych, stan pracowni o wiele gorszy. Braki, wytknięte w zeszłorocznem sprawozdaniu, nie zostały usunięte. A tyle było o to wrzawy! Wszak korporacye wydały nawet wspólny protest przeciw twierdzeniom pana inspektora. Po czyjejże stronie słuszność, skoro tegoroczne sprawozdanie zarzuty te znowu i to w całej pełni podnosi? Przyrządów wentylacyjnych nie znajdziesz w żadnym warsztacie — to też powietrze (szczególnie w pracowniach szewckich) jest wprost zabójcze dla zdrowia.

W ślusarskich, z powodu niedostatecznego opalania, skazani są robotnicy na pracowanie przy dokuczliwem zimnie; w pracowniach stolarskich używają do ogrzewania pieców żelaznych, służących zarazem do gotowania i przygrzewania klajstru, przez co robotnicy narażeni są z jednej strony na nadmierne gorąco, z drugiej na niezdrowe odory. W garbarniach nieczystość, wilgoć, mało światła, żadnej wentylacyi, powietrze zgniłe. Garbarnie w okręgu dolińskim należą do najgorszych pod względem urządzenia i higieny. Raporty inspektora do władz, dawno już poczynione, nie mogą się doczekać załatwienia — stan więc pozostaje niezmieniony. Piekarnie wykazują te same niedostatki. Fabryki wody sodowej, rozpowszechnione dziś po całym kraju, odznaczają się po największej części nieczystością, a prócz tego, skutkiem używania złych aparatów, zdarzają się tam bardzo często nieszczęśliwe wypadki, nawet śmiertelne. W młynach wciąż jeszcze brak urządzeń, mających na celu bezpieczeństwo robotników, między innemi brak schodów ogniotrwałych — a właściciele z całą energią sprzeciwiają się wprowadzeniu tych urządzeń. W browarach lwowskich również nie poprawiły się stosunki. W tartakach brakuje wszystkiego, coby mogło zabezpieczyć życie i zdrowie robotnika od niebezpieczeństwa. Mydlarnie (wszystkie małe, zatrudniające co najwyżej 4 robotników) są wilgotne, bardzo często umieszczone w piwnicach, które nie posiadając stosownej wentylacyi, zapełniają się niezdrowymi wyziewami. Rafinerye oleju ziemnego wykazują najliczniejsze wypadki śmierci robotników. W drukarniach znalazł inspektor także stan wcale niepocieszający, a największą wadą jest tu brak czystości. Zecerzy oddychają powietrzem przesyconem dymem tytoniowym i pyłem ołowianym. Pracownie zakładów karnych nie posiadają żadnej wentylacyi, a poszczególne oddziały są przepełnione pracującymi. W warzelniach asfaltu i fabrykach tyktury dachowej brak kąpieli, niezbędnej dla robotników, narażonych przy tej pracy na różne choroby skórne.

W ciągu roku minionego doszło do wiadomości inspektora 470 nieszczęśliwych wypadków, z tych 40 zakończonych śmiercią. Z dalszego ciągu tej smutnej statystyki podamy jedynie najciekawsze cyfry. Największa liczba wypadków przypada na przemysł drzewny—158, z tych 11 śmiertelnych. Główny ciężar winy spada tu na przedsiębiorców. Wadliwość albo nawet zupełny brak wszelkich środków bezpieczeństwa — oto najważniejsza przyczyna nieszczęść, których cyfra jest przerażająca. W jednej lwowskiej fabryce stolarskiej na 30 robotników, zajętych przy maszynach, jedenastu w ciągu roku doznało cięższych obrażeń cielesnych! Drugie w tym szeregu miejsce zajmuje przemysł chemiczny — 19 wypadków (3 śmiertelne), kamieniołomy— 29 wypadków (8 śmiertelnych). Zdarzają się także wypadki, nawet śmiertelne, w poszczególnych gałęziach przemysłu (jak w przedsiębiorstwach czyszczenia kanałów w kuźniach, w fabrykach wody sodowej, wykonywanych jako przemysł drobny), a pomimo to przedsiębiorcy nie są obowiązani ubezpieczać swych robotników.

W fabrykach zapałek, skutkiem oddychania przez dłuższy czas wyziewami fosforowymi, stają się oni zupełnie niezdolni do pracy. Kalectwa tego rodzaju, niebędące wynikiem nagłego trafu, ale dłuższego cza-

su, powinny znaleść uwzględnienie w ustawie o ubezpieczeniu robotników, boć przecie są to skutki pracy zawodowej, a powtóre kalectwo jest nieuleczalne, czyni robotnika zupełnie niezdolnym do pracy i tem samem jego, a często i rodzinę całą popycha w otchłań najokropniejszej nędzy. W zwiedzonych przez inspektora 593 zakładach na ogólną liczbę 14½ tysiąca robotników przypada kobiet niespełna 3,000. Wbrew wyraźnemu przepisowi ustawy, młode 14—16-letnie robotnice, a chłopcy nawet poniżej lat 14, bywają zatrudniani w fabrykach (np. zapałek), skutkiem czego w bardzo wczesnym wieku podpadają chorobom nieuleczalnym i stają się zupełnie niezdolnymi do pracy. W cegielniach, gdzie praca trwa tylko przez lato, zatrudniają robotników często od godziny 3 rano do 10 wieczorem.

Przekroczenie normalnego czasu pracy stwierdził inspektor w 54 wypadkach, naruszenie wypoczynku niedzielnego w 76. A gdyby miał możność częstszego zwiedzania fabryk, cyfra ta pomnożyłaby się dziesięciokrotnie. Co do uczniów, to zarówno w ich stanowisku, jak w sposobie ich kształcenia podtrzymuje on wszystkie ciężkie zarzuty, podniesione w zeszłorocznem sprawozdaniu, które spowodowały tak gwałtowną burzę w szklance wody, a nawet ściągnęły gromy na jego głowę w formie protestu majstrów przeciw jego wywodom. W największej części przedsiębiorstw brak spisów osobistych i porządków pracy. W 348 ze zwiedzonych robotnicy nie posiadają książek roboczych. W innych stwierdził on nieregularności w wypłatach, a w kilku wypadkach doniósł władzy o wypłatach w gospodach szynkowych. Ostatni, obszerny rozdział sprawozdania poświęca on określeniu materyalnego położenia robotników i stwierdza z ubolewaniem, że w roku ubiegłym położenie to nietylko się nie poprawiło, ale przeciwnie stało się o wiele gorszem. Przemysł fabryczny nie podniósł się, nie powstało żadne takie przedsiębiorstwo, które zatrudniaćby mogło większą liczbę ludzi. Pracy jest mniej, aniżeli tych, którzy po nią ręce wyciągają, a tem samem i wynagrodzenie się obniża, podczas gdy równocześnie coraz bardziej drożeją wszystkie środki żywności. Robotnik nie może się odpowiednio do ciężkiej pracy wyżywić, łatwiej podpada chorobom, których następstwem — straszna nędza.

W tabeli obejmującej trzy główne miasta: Lwów, Kraków i Czerniowce, podaje inspektor ceny artykułów żywności z r. 1889—91, wykazujące przerażające podwyżki. Tak samo podrożały napoje spirytusowe, których używanie umiarkowane tak potrzebne nieraz dla pokrzepienia sił; w niektórych okolicach robotnicy zmuszeni są zastępować je użyciem o wiele tańszej wody sodowej. Dla wyrównania tej drożyzny — zdaniem inspektora — praca robotnika musiałaby być podwyższona co najmniej o 25%. Do wiadomości inspektora doszły tylko dwa wypadki, w których przedsiębiorcy przyznali swym pracownikom dodatek drożyzniany w wysokości 10% płacy. Brak tanich a zdrowych mieszkań daje się najbardziej uczuwać w miastach głównych. Grasująca w roku ubiegłym influenza i inne choroby epidemiczne uczyniły niemałe spustoszenia. Smutne to stosunki, a niestety, smutniejsza od nich nadzieja przyszłości. Przemysł fabryczny rozwija się bardzo powoli, bo walczyć musi z wielu przeszkodami, a konkurencyi zbyt często wytrzymać nie może. Rękodzielniczy przemysł, szczególnie drobny, coraz bardziej upada pod nawałem przeciwności, z któremi musi się pasować. W ostatnich czasach zaczęto we Lwowie nieco poważniej zajmować się myślą budowania domów dla robotników; czy doprowadzi to do jakich dodatnich rezultatów — czas okaże. Tem sceptycznem pytaniem kończy się sprawozdanie inspektora przemysłowego.

Beta.

Z POZNAŃSKIEGO.

26 czerwca.

Zapowiedziana wizyta ministeryalna. — Ostateczne zabiegi w sprawie regulacyi Warty. — Chrzty nazw. — Komisya kolonizacyjna.

Minister oświaty zapowiedział nam urzędownie swą wizytę. Zanim jednak dostała się do gazet wiadomość o jego zamiarze zbadania stanu nauki w szkołach Księstwa, musiała regencya poznańska i bydgoska odebrać odnośne wskazówki z Berlina. Skutkiem tego, objawił się ruch niezwykły, od kilku tygodni w wizytacyi szkół nie tylko przez inspektorów powiatowych, ale i radców regencyjnych.

Sprawa regulacyi Warty w Poznaniu, o czem w roku bieżącym już dwukrotnie pisaliśmy, weszła znowu na porządek dzienny. Na ostatniem posiedzeniu reprezentacyi miejskiej nadburmistrz, p. Witting, złożył ponowne oświadczenie w tym przedmiocie. Rzeczoznawca p. Franzius z Bremeny, który swojego czasu oglądał koryto Warty, nadesłał już swoją opinię do Poznania, gdzie ją niezwłocznie wydrukowano — a nadto inspektor miejski, p. Wulsch, opracował specyalny projekt, odpowiadający warunkom przez komisyę stawianym. Projekt ten ma kosztować dwa i pół miliona marek włącznie z udziałem, jaki prawdopodobnie poniesie państwo i prowincya. Witting naradzał się w tej sprawie z przedstawicielami ministeryum finansów i spraw wewnętrznych, którzy oświadczyli wyraźnie, iż państwo od kosztów się nie uchyli. Tak samo przychylnym okazał się dla projektu również i reprezentant prowincyi. Państwo i prowincya poniosą najprawdopodobniej z kosztów milion marek, pozostałe zaś półtora miliona pokryć musi miasto. Strona prawna również nie przedstawia wielkich trudności, bo nie trzeba się będzie starać o przywilej wywłaszczania dla zdobycia potrzebnego gruntu, jeno będzie można oprzeć się na statucie miejscowym.

Chrzty miejscowości posiadających nazwy nieniemieckie trwają nieustannie dalej. I tak w powiecie bydgoskim obwód dominialny Polskie Przyłubie nazwano *Weichselhof*, obwód dominialny w powiecie gnieźnieńskim Pierzyska — *Widau*, obwód dominialny w powiecie inowrocławskim Niemojdwo — *Schoenwiese*. W powiecie chodzieskim gminę Niewiemko nazwano *Neuhütte*, obwód dominialny Szczeglin — *Scheglin* i w powiecie wągrowskim obwód dominialny Międzylesie — *Ritscherheim*. Ojcem chrzestnym oczywiście jest prezes regencyi, p. Tiedemann. Gazety berlińskie tłomaczą owe zmiany tem, iż dotychczasowe napisy miejscowości, w państwie niemieckiem się znajdujących, *są irytujące* dla niemców, bo i nie pozwalają należycie oddać brzmienia nazwy i przypominają, że w państwie nie wszystko jest w takim porządku, w jakim właściwie być by powinno.

Po krótkiej przerwie i małym wypoczynku komisya kolonizacyjna znów rozpoczęła swą czynność. *Posener Tageblatt* donosi, że hr. Leon Skórzewski z Lubostronia sprzedał wielki klucz Bukowiecki, w powiecie świeckim w Prusach Zachodnich, obejmujący dobra Bukowiec, folwarki Branice, Franciszkowo i dobra rycerskie Szewienko, razem 2,253 hektarów ziemi za 930,000 m. komisyi kolonizacyjnej. Dalej sprzedała tejże komisyi p. hr. Sokolnicka wieś Laskowo o obszarze 938 hektarów. Za jednym zamachem przeszło w ręce niemieckie 13,000 morgów ziemi.

t. z.

PAMIĘTNIK.

Cholera.

Groźny wróg stanął przed bramami Europy, a nawet częściowo zdołał się przez nie przecisnąć. Jak zwykle, idzie on do niej od wschodu, z Azyi. Według *Prawit. Wiestnika*, już 1 marca otrzymano pierwszą wiadomość o zjawieniu się cholery w Heracie. Przedsięwzięto ze strony rządu ruskiego środki zapobiegawcze zastosowano w guberniach: astrachańskiej, saratowskiej, taurydzkiej i obwodzie uralskim, na Kaukazie oraz w portach morza Czarnego. Zakazano przesiedlania się do obwodu damaskijskiego i kraju turkiestańskiego przez Astrachań, Baku i Orenburg, zabroniono też przywozu skór niewyprawionych z portów perskich. Co do zauważonych dotychczas wypadków *Praw. Wiestnik* podaje następujące fakty. W aule Kaakbe na drodze zakaspijskiej zachorowało od 24 maja do 22 czerwca 43 krajowców, zmarło 41. Cholera zjawiła się pośród żołnierzy bateryi, idącej z Merwu do obozu pod Aschabadem. Od 22 czerwca zmarło 4, pozostało ciężko chorych 9, dotkniętych biegunką 23. W Aschabadzie przez ten cały czas zmarło dwoje dzieci; w Uzun Adzie od 6 do 9 czerwca zachorowało i umarło 3 persow.

Między 17 a 24 czerwca cholera ukazała się pośród wojsk, stojących załogą w obwodach zakaspijskim i samarkandzkim. W Baku od 6 do 24 czerwca zachorowało 164, zmarło 70, wyzdrowiało 12. Były też wypadki zapadania na cholerę w okolicach Baku. Choroba trwa zwykle od 12 godzin do 3 dób; chorzy należeli do różnych narodowości, przedewszystkiem jednak zapadają ludzie z klasy roboczej, która się tutaj osiedliła. Dnia 19 czerwca zmarł na cholerę na stacyi Buchara konduktor; potem do 23 czerwca nikt tej epidemii nie uległ.

Na pociechę naszą przyznać trzeba, że straszna ta zaraza dzięki ścisłym kwarantannom nie nawiedza obecnie Europy tak często i nie grasuje w niej tak morderczo, jak dawniej, oraz że co rok prawie staje ona na kresach naszej części świata i nie przedostaje się za nie zbyt daleko. Nigdy wszakże jej ufać nie można, tem bardziej, że nie jest to „dziewica z krwawą chustą,“ której pochód można by obserwować, lecz jakaś niewidzialna fala, pędząca z powietrzem, która szybko przenosi śmierć tam, gdzie jej najmniej się spodziewano.

Kolonie letnie.

Chociaż w roku bieżącym wywieziono na wieś więcej dzieci ubogich, niż lat poprzednich, i chociaż całe to przedsięwzięcie weszło na drogę, zapewniającą mu stałe powodzenie, jednakże potrzeba i obowiązek każą nam posunąć się jeszcze dalej. Dotychczasowa organizacya kolonij letnich opiera się na pieniężnej ofiarności szczupłego grona ludzi miłosiernych i na dobrej woli kilku osób, udzielających bezinteresownie dzieciom przytułku podczas lata. Komitet, opatrzony pozwoleniem władzy, zbiera składki i pokrywa niemi koszt utrzymania gromadek, którym kilku obywateli ziemskich daje mieszkania. W tym akcie litości uczestniczyć by mogły bez wielkiego dla siebie ciężaru szersze koła, niż dotychczas. W wielu wypadkach możemy zauważyć, że jednostki, posiadające dużo zasobów, energii i najlepszych chęci, nie zużytkowywują swoich uzdolnień i środków dlatego tylko, że się nie porozumiały i pozostają w udosobnieniu. Z pewnością ten i ów właściciel lub dzierżawca folwarku przyczyniłby się wedle sił do kolonij letnich, ale sam w obecnej ich postaci nic dla nich nie robi lub zrobić nie może. Bo i czemże okaże im swą pomoc, jeśli nie ma obszernego, pustego domu, w którym by osiadła gromadka dzieci lub nie jest w stanie wy-

żywić kilkadziesiąt wygłodzonych żołądków przez 6 tygodni? Ponieważ zaś dla uproszczenia organizacyi i umożliwienia dozoru ubogie dzieci będą zawsze wysyłane z Warszawy nie pojedynczo, lecz partyami, których żaden z ziemian na własne barki włożyć sobie nie zechce, bo takiego ciężaru sam by nie udźwignął, więc pożądane byłoby łączenie się każdej okolicy w tym celu. Przypuśćmy, że przy jakimś dworze jest pusty dom, który mógłby służyć za mieszkanie dla gromadki dzieci. Inne dwory sąsiednie dostarczyłyby produktów: mąki, kaszy, kartofli itd. Gdyby wszystkie w pewnym obrębie przystąpiły do tej składki żywnościowej, na każdy wypadłaby bardzo mała danina, a komitet kolonij potrzebowałby tylko opłacić dozorczynię i kucharkę. Wtedy możnaby wysłać na wieś dwa, trzy, pięć razy więcej dzieci, niż obecnie, oraz przyłączyć do nich podrzutków z przytułku Dzieciątka Jezus, te istoty największej litości i opieki godne, które przychodzą na świat wyzute bez winy ze wszelkiej niemal opieki. Zwłaszcza gdy spadkobiercy hr. Potockiej cofnęli im możność pobytu w jednym z jej folwarków wilanowskich podczas lata, nędza ta nie ma gdzie odetchnąć świeżem powietrzem i musi marnieć w miazmatycznej atmosferze szpitala. Dosyć dla nich niezasłużonej kary w hańbie i poniewierce, nie dołączajmy jeszcze do klątwy losu męczarni życia tym paryasom, którzy są tak nieszczęśliwi, że nie umarli w niemowlęctwie. Gdyby kolonie letnie rozszerzyły się u nas w sposób wyżej zaznaczony, podrzutki mogłyby z nich korzystać na równi z dziećmi ubogich rodziców. W tym roku przedsięwzięcie takie jest już spóźnione, ale w przyszłym powinniśmy wcześnie do niego się przygotować. *O.*

Nieobecni.

Wiadomo, kogo to niegdyś ochrzczono tem mianem — owych panów, których brak zawsze w kraju przy wszelkich pracach społecznych, a nigdy nie brak przy zielonych stolikach klubów zagranicznych, w miejscach zabawy, marnotrawstwa, zbytku i rozpusty. Kiedy biedne podrzutki nie mogą doprosić się jałmużny ze świeżego powietrza, ci pożeracze owoców cudzej pracy przepuszczają na obczyźnie miliony lekką ręką i jeszcze lżejszem sumieniem. Jakiś zamaskowany (po co?) bohater tego gatunku wsławił się świeżo w „wyższym świecie“ Paryża. Według gazet francuskich, ex-król Milan od pewnego czasu gra tak szczęśliwie w *pokera*, że od „jednego z arystokratów polskich“ wygrał już 1½ miliona franków. Co też sobie o nas myślą członkowie klubu *cercle des épatants?* A no, zapewne myślą to, co niegdyś, za czasów Offenbacha, o „brazylijczykach,“ których przedstawiano na scenie obwieszonych złotem. Że my jeszcze nie doczekaliśmy się odpowiedniej roli w operetce — to dziwne.

Z Towarzystwa ogrodniczego.

Członkowie tej instytucyi urządzają swoje zebrania bardzo poetycznie: nie radzą, jak inni śmiertelnicy, śród czterech pustych ścian, lecz śród kwiatów. Ostatnie zgromadzenie odbywało się na szczególnie bogatem tle owej poezyi, gdyż łącznie z wystawą konkursową koszów kwiatowych. Zaznaczywszy ogólnie, że ona okazała dość wdzięku w pomysłach i sztuki w wykonaniu, i że pierwsze palmy otrzymali pp. Hoserowie i A. Siedlecki, winniśmy parę słów poświęcić uchwale, wyznaczającej 5,000 rs. na koszta udziału w wystawie ogrodniczej w Łodzi. Aż 5,000 rs.! Przeciwko tak znacznemu wydatkowi odezwały się głosy opozycyi, naszem zdaniem, zasadne, gdyż on w żadnym razie całkowicie odzyskany być nie może, korzyści szerszego znaczenia nie zapewnia, a wycieńcza fundusze ubogiej instytucyi. Ponieważ jednak większość tak postanowiła — czekajmy rezultatu.

Pracownicy handlowi.

Towarzystwo subjektów handlowo-przemysłowych w ostatniem swojem sprawozdaniu rocznem pomieściło skargę na brak odpowiednio uzdolnionych pracowników handlu, skutkiem czego muszą oni być sprowadzani z zagranicy. Do skargi tej nawiązaliśmy kilka uwag z naszej strony, które wywołały przesłany do redakcyi naszej list, wyświetlający przyczyny tego zjawiska. Pierwszą z nich ma być protekcya. Na setki lub nawet tysiące — piszą autorowie listu — można u nas liczyć owych faworytów, przygotowanych do objęcia posady biurowej słabem wykształceniem domowem lub kilkoklasowem szkolnem, którzy wstępują na tę drogę jedynie dzięki „zwichniętej karyerze.“ Druga przyczyna tkwi w znanym systemie oszczędnościowym chlebodawców, którzy szukają jak najtańszych narzędzi na swe usługi w złudnem mniemaniu, że brak zdatności dopełnią swojem kierownictwem. Zresztą ci chlebodawcy bywają często ludźmi prostodusznymi, którym pierwszy lepszy blagier zasypie oczy piaskiem. Stąd wynika, że podczas gdy wielu wychowańców szkoły Kronenberga lub też ludzi z zupełnem wykształceniem handlowem marnieje w nieodpowiednich zajęciach (dając lekcye, przepisując itd.), ciągle sprowadzani są do kantorów kandydaci z zagranicy. O wakujących posadach dowiadują się znajomi i znajomi znajomych chlebodawcy, którzy popierają na wyścigi swych protegowanych bez względu na ich uzdolnienie, a w tem współzawodnictwie pozbawieni „pleców,“ chociaż wykształceni, nie mogą być zwycięzcami.

Tak twierdzą autorowie listu. Chociaż wskazane przez nich przyczyny złego nie tłomaczą wcale przywozu pracowników handlowych z zagranicy (gdyż zarówno protekcya, jak skąpstwo pryncypałów powinnyby wytwarzać zjawisko całkiem przeciwne), jednakże nie ulega wątpliwości, że fakty te istnieją. Usunąć ich nie zdoła żaden głos karcący. Można napisać milion artykułów z najmocniejszymi wywodami, i wszystkie one nie zapobiegną ani faworyzowaniu, ani wyzyskowi. Jeżeli co można naprawić i nad czem należy pracować, to tylko nad ułatwieniem szybkiego stykania się pracodawców z pracobiorcami, tych, którzy poszukują sił zdolnych, z tymi, którzy je posiadają. Nietylko w tej dziedzinie naszego życia, ale w każdej spotykamy ciągle dziwny objaw współistnienia ludzi, którzy z jednej strony daremnie szukają pracowników, a z drugiej nie mogą znaleźć pracy. Zadanie to spełnić winny należycie biura stręczeń, pośredniczące w tych stosunkach. Autorowie listu zapytują nas, czy mają założyć i jakie stowarzyszenie osobne z tym celem. Po co? Alboż dwa towarzystwa subjektów handlowo-przemysłowych, które zaprowadziły u siebie wydziały rekomendacyi pracy, nie wystarczają? Jeżeli zaś źle wywiązują się ze swego obowiązku, to należy je pod tym względem zreformować. Rozmnożenie organów pośrednictwa doprowadziłoby tylko do rozdrobnienia informacyj i starań. *W.*

Wydalenie.

Władza administracyjna poleciła fabrykantom łódzkim, ażeby ze swych zakładów usunęli cudzoziemców, zajmujących stanowiska kierownicze. Zaskoczeni niespodziewanie tym rozkazem przemysłowcy podali prośbę o przedłużenie terminu wykonania go, lecz otrzymali odpowiedź odmowną. Pozwolono im tylko każdorazowo za pośrednictwem rządu gubernialnego piotrkowskiego wyjednywać sobie prawo zatrzymywania na czas pewien obcokrajowych specyalistów technicznych. Nie wiemy, ilu cudzoziemców skutkiem tego rozporządzenia zostanie wydalonych, w każdym razie dla sił miejscowych, o ile są w pogotowiu, otworzy się pole pracy.

Popis Instytutu muzycznego.

Był to — jak corocznie — popis uczniów, a nie talentów. Dlaczego piszemy obszerne sprawozdania o popisach muzyczno-śpiewackich, a milczymy o naukowych (szkolnych), które daleko więcej obiecują swojemu społeczeństwu,— jest to tajemnica naszego czasu i społeczeństwa, żyjącego przedewszystkiem przyjemnościami estrady i teatru. Skoro wszakże tak jest i długo jeszcze tak będzie, więc zapisujemy do kroniki fakt, najzwyczajniejszy w świecie. Rozumie się, grano i śpiewano — wogóle nieźle, na ile stać było mierność wytresowaną przez nauczycieli. Ach, przedstawiono słuchaczom i kompozycyę, uwerturę p. Dworzaczka, który po popisie, poświęciwszy ją nauczycielowi z napisem: „dziura nie tworzy armaty“ — niech głęboko schowa. O klasie fortepianowej, skrzypcowej, chóralnej itd. — zachowamy to dyskretne milczenie, które według przysłowia należy zachować o pewnych umarłych. Jeżeli wszakże od surowego wyroku podsądni — chcieliśmy rzec — uczniowie i uczenice Konserwatoryum zapelują do trybunału miłości własnej i zechcą się uważać za znakomitych artystów, będą mieli zupełną słuszność i znajdą obrońców. Bo czyż podobna, ażeby uwierzyli w skromne swoje zdolności i w bezstronność krytyki, znalazłszy w pismach takie oceny biegłych:

Kuryer warsz.	*Kuryer codz.*
Drugim ujemnym momentem był popis zbiorowy chóru mieszanego z klasy prof. Stattlera.	Chór i orkiestra godne są wszelkiego uznania. Dawną tradycyę prowadzi dziś dalej prof. Stattler z tą samą gorliwością, ścisłością, z tymże artystycznym rezultatem.
Orkiestra instytutowa wyróżnia się takim brakiem intonacyi w instrumentach dętych metalowych, że doprawdy dziwić się niepodobna, iż jednostki, przyzwyczajone do takiej atmosfery intonacyi w szkole, która powinna być wzorem na całe życie, nie mogą następnie wytworzyć ani jednego kompletu zbiorowego o poważnem artystycznem znaczeniu.	Orkiestra wyrobiła się znakomicie, a jej produkcyom nietylko niepodobna stawiać zarzutów, ale przeciwnie w niektórych ustępach zaznaczyć należy szczególniejszą precyzyę rytmów.
Gdyby nie udział p. Lipińskiego (w odśpiewaniu ustępów z *Fausta*) moglibyśmy sądzić, że mamy do czynienia z umyślną parodyą arcydzieła Gounoda.	Obrobienie ogólne całości, udział chóru, drobne wpadki głosowe odśpiewane poprawnie... złożyły całość wprawdzie dobrą, ale nic ciekawego nieprzedstawiającą.
Nieznany nam jest akompaniator fortepianowy do powyższych popisów, ale żadną miarą do kategoryi współdziałaczów artystycznych zaliczyć go niepodobna.	Do kilku numerów wokalnych i instrumentalnych akompaniował wybornie p. L. Urstein.
I t. d.	I t. d.

No, niechże wobec tych sprzeczności biedny uczeń Konserwatoryum zgadnie, kto z niego kpi, a kto mu drogę wskazuje? Oj, panowie krytycy muzyczni, jednemu z was przydałoby się trochę znajomości... muzyki.

Muzeum rzemieślnicze.

Jak wiadomo, od półtora roku zaczęto myśleć o założeniu Muzeum rzemiosł pod opieką tutejszego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. W ciągu tego czasu komitet pod przewodnictwem p. Wł. Kiślańskiego, wybrany z grona członków Towarzystwa, opracował obszerne motywy do ustawy, instrukcyę i plan nowej instytucyi. Muzeum będzie zarządzane przez komitet z 15 osób, wybranych sposobem następującym: sekcya techniczna i chemiczna Towarzystwa popierania przemysłu i handlu wybierają po jednym członku, rzemieślnicza dwóch, ofiarodawcy, którzy złożyli jednorazowo 100 rs. lub zadeklarowali płacenie rocznej składki w ilości 5 rs., wybierają 10 członków, wreszcie jednego członka deleguje zarząd Towarzystwa. Zorganizowany w ten sposób komitet odbył już trzy posiedzenia, na których utworzono specyalne delegacye czasowe do opracowania szczegółów.

Gazeta rzemieślnicza podała w jednym z ostatnich numerów zasady, na jakich Muzeum rzemieślnicze ma się opierać, według wspomnianej wyżej instrukcyi. Zapoznawanie rzemieślników z okazami wyrobów i środkami ich wykonania ma być osiągane przez wystawianie: 1) własnych lub czasowo udzielanych wzorowych wyrobów, dawnych i nowych, krajowych i zagranicznych, zasługujących na rozpowszechnienie; 2) płodów surowych i półproduktów; 3) warsztatów, narzędzi, maszyn itp.; 4) rysunków, modelów, fotografij itp.; 5) wreszcie przez założenie biblioteki dzieł i pism specyalnych, krajowych i zagranicznych. Muzeum będzie otwarte codziennie, z wyjątkiem poniedziałków; wejście w niedziele będzie bezpłatne, w dni świąteczne za opłatą 5 kop., w dni powszednie 10 k. Najpierw ma być urządzona sala rysunkowa.

Na posiedzeniu członków sekcyi rzemieślniczej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, dnia 2 z. m., odczytano sprawozdanie o stanie funduszów na założenie bazaru. Po trzyletniej usilnej agitacyi zebrano wreszcie potrzebny kapitał, a mianowicie 9,200 rs. z udziałów 25-rublowych, oraz od kasy pożyczkowej przemysłowców przypada 1,000 rs., na ten cel przeznaczonych. Obecnie delegacya wykonawcza przystąpi do zorganizowania spółki i sporządzenia aktu rejentalnego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Zjazd gorzelników. Dnia 22 z. m. otwarto w Moskwie zjazd gorzelników. Przybyło około 270 osób. Przewodniczący, dyrektor departamentu dochodów niestałych, Jermołow, zaznaczył, iż gorzelnictwo przechodzi obecnie chwilę przesilenia, wynikłe z nadprodukcyi spirytusu, a wskutek tego spadku cen okowity, nieodpowiadającego wartości produktów surowych. Zaradzenie temu stanowi jest celem zjazdu. Z dotychczasowych uchwał zasługuje na uwagę przyjęcie wniosku o zawiązaniu przez właścicieli gorzelni towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia od ognia, wobec wysokich premij, płaconych istniejącym towarzystwom.

Z powodu obecnego zjazdu, *Gaz. warszawska* otrzymała z kilku stron od swych prenumeratorów różne uwagi, które w streszczeniu tak się przedstawiają:

I. Dla handlu wewnętrznego pożądanem byłoby dla producentów okowity:

a) aby urzędowa norma obliczeń wiadra była ustanowiona na 100 stopni, i aby tylko na taką normę ogłaszane były ceny i czynione wszelkie obliczenia prywatne, zamiast praktykowanych obecnie 78 stopni z dwoma procentami obliwki, co bez wątpienia w pewnych wypadkach szkodę przynosić mogło producentowi przy sprzedaży jego towaru;

b) aby czynione były dalsze ułatwienia gorzelniom w kierunku zakładania swych składów hurtowych i detalicznych;

c) aby rozpowszechnić używanie okowity dla celów przemysłu za pomocą zniżenia akcyzy od denaturalizowanej surówki;

d) aby ułatwić powstawanie składów, magazynujących okowitę, za pomocą niewymagania akcyzy od uschłego tam alkoholu, jeśli magazyn pozostawał pod kluczem i kontrolą akcyzy, a więc tem samem uschnięcie nie poszło na potrzebę konsumcyi, od której właściwie akcyza jest pobierana;

e) aby powstały szkoły gorzelnicze, z których wychodziliby gorzelani, odpowiednio do obecnych wymagań tego przemysłu uzdolnieni.

II. Dla handlu wywozowego pożądanem jest:

a) ułatwienie zwrotu beczek, w których surówka i rektyfikat bywa wywożony;

b) zastosowanie wagi kuf z okowitą wywożoną zamiast dotychczasowo praktykowanego na granicy mierzenia objętości płynu, gdyż w tym ostatnim razie płaci się akcyza za okowitę wsiąkłą w beczki, a ta okowita przecież jest wywożona z beczką;

c) nadanie wysokiej premii wywozowej, chociażby ona wpłynąć miała na zniżkę cen za granicą, gdyż z drugiej strony wysoka premia wywozowa podniesie cenę wewnętrzną i uczyni wywóz możliwym nawet przy zagranicznej nizkiej cenie, a ta znów nizkość ceny, w Hamburgu płaconej, uwolni naszą okowitę od konkurencyi surówki austryackiej i amerykańskiej.

Wystawa nasion. Niedoszła do skutku w początkach r. b. z powodu niezadowalającego stanu zbiorów w r. z. wystawa nasion, roślin gospodarskich, nawozów pomocniczych, produktów nabiałowych oraz produktów gospodarstwa domowego wiejskiego ma być stanowczo otwarta dnia 15 listopada r. b. i potrwa dni dziesięć. Życzący sobie w niej wziąć udział, mogą nadsyłać deklaracye do dnia 15 października, do komitetu wystawy, w Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie (Krakowskie Przedmieście 66). Okazy należy nadesłać nie później, niż w dniu 13 listopada, a tylko te, które powinny być wystawione w stanie świeżym, będą przyjmowane jeszcze w d. 14 listopada. Program wystawy i warunki wzięcia w niej udziału pozostają niezmienione.

— Przestrzeń, zasiana burakami w r. b., zmniejszyła się o 1,904 dziesięciny, czyli o 0,7%. Największe zmniejszenie nastąpiło w gub. kijowskiej, o 2,794 dzies., w charkowskiej o 1,818½ dzies. i w warszawskiej o 874 dzies.; natomiast powiększenie nastąpiło w gub. podolskiej o 2,075 dzies., w lubelskiej o 987 dzies. i w połtawskiej o 593 dziesięciny.

— Kupno worków na zboże, przywożone kolejami pochłaniało znaczne sumy; tak np. w r. 1888 wydatek ten, spadający głównie na producentów, wynosił około 5,000,000 rs. Rolnicy spodziewają się ulgi pod tym względem z powodu zapowiedzianego dozwolenia przewozu zboża bez worków, za nieznaczną dopłatą dodatkową za zsypywanie ziarna do specyalnie urządzonych w tym celu wagonów.

— Grójeckie Towarzystwo zaliczkowo-wkładowe udzieliło w r. z. pożyczek 72,615 rs.; kapitały lokowane wynosiły 26,904 rs. Udziały członków stanowią 17,991 rs., a fundusz rezerwowy 7,794 rs. Stowarzyszenie to, podobnie jak w Wiskitkach, posiada charakter przeważnie rolny.

— Towarzystwo kopalń węgla „Czeladź“ w pow. będzińskim wykazało za r. z. stratę w ilości 122,233 franków 37 cent., przy kapitale akcyjnym 3,000,000 fr. i obligacyjnym 2,000,000 fr.

— Wywóz towarów z kraju Zakaspijskiego i Persyi do Baku wstrzymano na czas pewien, z powodu panującej tam cholery.

— W r. z. wywieziono z państwa ruskiego za granicę 54,974 konie.

— Nowa fabryka prochu na użytek kopalń zajmuje w Ogrodzieńcu około 100 robotników i przynosi 100% dochodu.

— Przedsiębiorstwo nafciane braci Noblów w Baku miało w r. z. 2,200,000 rs. czystego zysku, z którego 750,000 rs. obrócono na dywidendę dla akcyonaryuszów w stosunku 5%.

— Austryackie koleje żelazne, stykające się z dr. żel. Południowo-Zachodniemi, zniżyły taryfę przewozową.

— Korespondent petersburski *Gaz. warsz.* donosi, iż premia wywozowa od spirytusu, zawieszona przed rokiem, niebawem będzie przywrócona.

— Przy dostawie 180 wagonów towarowych dla dr. żel. Warszawsko-Wiedeńskiej utrzymała się fabryka Warszawska pod firmą Lilpop, Rau i sp.

Z rynku.

Targi zbożowe. *Warszawa* 28 czerwca. Na stacyi Praga Terespolska usposobienie targu mocne; żyto poszukiwane. Kasza jaglana tranzyto na prowincyę mocno. Płacono całemi wagonami za pud pszenicy: 115—138, stosownie do gatunku; żyta 111—126; owsa 76—97; jęczmienia 70 — 94; gryki 108—115; kaszy jaglanej 126—143; kukurydzy 70—75.

— W magazynach tranzytowych pozostawało w dniu 27-m z. m. 510 wagonów, w tem: 21 wag. żyta, 90 owsa, 11 mąki żytniej, 27 pszennej, 116 kaszy jaglanej, 85 pszenicy, 29 jęczmienia, 19 fasoli, 12 mąki kartoflanej, 76 kukurydzy.

— Na placu Witkowskiego płacono za pszenicę białą 800, za żyto średnie 665—675, za owies 285—350, siano 25—35, słomę 28—30. Dowieziono pszenicy 100 korcy, żyta 50. owsa 100; sprzedano żyta 60 korcy, pszenicy 100 korcy.

Kalisz, 28 czerwca. Za korzec żyta płacono 7,35, pszenicy 8,50, jęczmienia 4,50 — 6,10, owsa (160 f.) 3,60—4, kartofli 2,50. Dzienna płaca robotnika 45 kop., z parą koni 3,25.

Łódź, 29 czerwca. Popyt dobry. Od zeszłego piątku sprzedano na st. towarowej: pszenicy 200 korcy po 7—7.15, owsa 3,000 po 3,15—3,35. Na Starym Rynku sprzedano 400 korcy pszenicy po 8,20—8,70. Ceny słomy, koniczyny, siana nie uległy zmianie.

— Na południu państwa rozpoczęły się zakupy zboża nadchodzącego zbioru. Największym zbytem cieszy się rzepak, którego cena dosięgła 1,35 za pud. Sprzedano też znaczne partye żyta po 75 kop. za pud z dostawą na początek sierpnia, przeważnie do gub. wewnętrznych państwa.

Ceny okowity. 28 czerwca. Brutto z potrąceniem 2%: hurtowa w. 100^0—11,16, w. 78^0—8,70; szynkowa w. 100^0—11,31, w. 78^0—8,82; bez potrącenia hurtowa w. 100^0—$10,93^7$, w. 78^0—$8,53^3$; szynkowa w. 100^0—$11,07^7$, w. 78^0—8,65.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Rozkaz Najwyższy. W *Gońcu urzędowym* ogłoszono następujący rozkaz Najwyższy o ustanowieniu przepisów specyalnych o przemieszkiwaniu w gub. wołyńskiej osób nieruskiego pochodzenia:

„Komitet ministrów, rozpoznawszy wniosek ministra spraw wewnętrznych o ustanowieniu przepisów specyalnych, dotyczących zezwolenia na osiedlanie się w gub. wołyńskiej osób nieruskiego pochodzenia, postanowił:

I. Ułożony przez ministra spraw wewnętrznych i poprawiony zgodnie z uwagami komitetu projekt Imiennego Najwyższego Ukazu do senatu rządzącego w sprawie sposobu osiedlania w gub. wołyńskiej osób nieruskiego pochodzenia, złożyć do Najwyższego uznania i podpisania Jego Cesarskiej Mości, oraz

II. Polecić generał-gubernatorowi kijowskiemu, podolskiemu i wołyńskiemu wydawanie przemieszkującym w podwładnych mu guberniach cudzoziemcom bezpłatnych świadectw emigracyjnych bez zyskiwania na to za każdym razem Najwyższego zezwolenia.

Jego Cesarska Mość na postanowienie komitetu Najwyżej zezwolić, a projekt Imiennego Najwyższego Ukazu do senatu rządzącego podpisać raczył w Gatczynie, dnia 14-go marca 1892 r.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dzięki zabawie kwiatowej, oraz ofiarności p. Walichnowskiej, współwłaścicielki zakładu kąpielowego w Solcu i tamecznego lekarza d-ra Daniewskiego, partya dzieci ubogich i słabowitych z Radomia spędzi kilka tygodni w Solcu, otrzymując kąpiele bezpłatnie lub po zniżonej cenie. Wyjazd nastąpi w sierpniu.

— Dnia 26-go maja, jak donosi *Warsz. Dniew.*, straż pograniczna brygady rypińskiej zatrzymała kilku wychodźców z Warszawy i pow. płońskiego, dążących za granicę.

— W r. b. w wielu znaczniejszych fabrykach w Królestwie Polskiem przystąpiono do urządzenia przytułków dla dzieci robotników w wieku do 6-u lat.

— Na Pradze powstaje kosztem 18,200 rs. przytułek noclegowy.

— Kasy pocztowe oszczędności w Austryi, istniejące tam od lat 8-u, rozwijają się stale. Znajduje się w nich ogółem 24,800,000 złr., należących do 847,716 uczestników. Średnio na 1,000 mieszkańców państwa przypada 36 składających swe oszczędności w pomienianych kasach; w Austryi Dolnej przypada na 1,000 mieszkańców 101 uczestników kas pocztowych, w Galicyi tylko 13.

Szkoły. Do kuratorów okręgów naukowych, jak donoszą *Nowosti*, napływają prośby, o utworzenie oddziałów handlowych przy szkołach realnych.

— W r. z. było w Warszawie 730 zakładów naukowych z 34,073 uczniami i 14,362 uczennicami. W uni-

wersytecie było 1,171 słuchaczów, w 7-u gimnazyach 2,301 uczniów, w szkole realnej 621, w dwóch progimnazyach 438, w 3-klasowej szkole miejskiej 222, w szkole rzemiosł im. M. Konarskiego 230, w Instytucie weterynaryjnym 102, w szkole rysunkowej 204, w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych 235, w szkole handlowej 441, w 29-u szkołach niedzielnych rzemieślniczych 2,189, w szkołach prywatnych dla chłopców 2,720, dla dziewcząt 3,663, w progimnazyum żeńskiem 175, w 4 gimnazyach żeńskich 1,733, w Instytucie Maryjskim 242, w szkołach elementarnych męzkich, żeńskich i mieszanych razem 2,689 itd. W różnych szkołach wyznaniowych żydowskich było razem 27,548 uczniów i uczennic.

— W r. z. ukończyło kursa lekarskie w uniwersytetach w państwie ruskiem, oraz w Wojskowej Akademii Lekarskiej w Petersburgu 775 studentów, w tej liczbie 90 ze stopniem doktora medycyny, a 685 ze stopniem lekarza.

— Dnia 28-go z. m. otwarto wystawę wyrobów uczniów szkoły rzemiosł im. Konarskiego. Wyroby świadczą dobrze o uczniach i ich kierownikach. Wartość wyrobionych przedmiotów w upłegłym roku szkolnym wynosiła 2,000 rs. Do istniejących dotąd warsztatów ma być dołączony warsztat tokarski.

— Od przyszłego roku szkolnego do szkół technicznych kolejowych mają być przyjmowani tylko poddani ruscy w wieku od 14 do 18-tu lat.

— W przyszłym roku szkolnym mają powstać przy wielu gimnazyach żeńskich na prowincyi pensyonaty dla uczennic.

— Ministeryum oświaty zezwoliło na dopuszczanie do egzaminów ustnych nawet tych uczniów, którzy otrzymali zły stopień (jedynkę) na egzaminie piśmiennym, jeżeli na taki wynik pracy piśmiennej wpływały wyjątkowo niepomyślne warunki.

Sprawy kolejowe. Ogłoszono rozkaz Najwyższy o utworzeniu towarzystwa akcyjnego do budowy i eksploatacyi drogi żelaznej dojazdowej Żytomierskiej i o zatwierdzeniu ustawy tego towarzystwa.

— *Warsz. Dniew.* w n-rze 132 podał wiadomość od swego korespondenta petersburskiego, iż wyższe posady na dr. żel. w Królestwie Polskiem i kraju Południowo-Zachodnim będą obsadzone tylko przez osoby pochodzenia ruskiego. W n-rze 134 powtarza tę samą wiadomość za *Peterb. Wied.*, z nadmienieniem, iż osoby pochodzenia polskiego, zajmujące obecnie te stanowiska w Królestwie Polskiem, będą przeniesione na takie same stanowiska do gub. wewnętrznych Rosyi.

— Dr. żel. Dąbrowska przystępuje wkrótce do budowy bocznicy kolejowej od Dąbrowy przez Będzin do kopalni rudy żelaznej „Simonia."

— Naczelnikiem ruchu na kolei Terespolskiej mianowano p. Lewoja z Petersburga zamiast p. Gerszoffa. Naczelnikiem służby drogowej mianowany inż. Potemkin I, a naczelnikiem służby materyałowej inż. Antonow I.

— Komitet ministrów zatwierdził kierunek drogi zachodnio-syberyjskiej od Czelabińska przez Kurhan, Petropawłowsk, Omsk, Kaińsk, Krywoszenkow nad Obią do Poczytańskiej, stacyi dr. żel. środkowo-syberyjskiej.

— Ministeryum komunikacyj ma uzyskać kredyt do 2,000,000 rs. na zwiększenie w razach nadzwyczajnych ruchu na kolejach.

— Towarzystwo prywatne zamierza wybudować drogę żelazną z Moskwy do Pskowa.

Komunikacye wodne. Jak donosi *Kuryer codz.*, powstała spółka, celem zaprowadzenia stałej komunikacyi wodnej pomiędzy Pułtuskiem a Nowym Dworem. Spółka zamówiła dwie łodzie parowe, mogące pomieścić 40—50 osób.

— Nowy kanał morski, łączący morze Baltyckie z Niemieckiem ma być otwarty w jesieni r. b. Wpłynie on niewątpliwie na ożywienie się handlu w portach m. Baltyckiego.

Zdrowie publiczne. Ministeryum komunikacyj przeznaczyło 20,000 rs. na przedsięwzięcie środków przeciwko cholerze.

— W Baku dnia 27-go z. m. w szpitalach zmarło na cholerę 39, wyzdrowiało 14, poza obrębem szpitalów zmarło 18.

— Dyrektor komunikacyi wodnych Fadiejew otrzymał polecenie zarządzenia środków przeciwko zawleczeniu cholery okrętami, pływającemi po morzu Kaspijskiem.

— Środki przeciwko szerzeniu się lub przedostaniu się cholery zastosowano już w gub. Astrachańskiej, Saratowskiej, Taurycklej, w obwodzie Uralskim, na Kaukazie i w portach m. Czarnego. Świeżo *Prawit. Wiest.* ogłosił instrukcyę o środkach ostrożności w miastach gubernialnych i powiatowych na wypadek zjawienia się cholery.

— W Smoleńsku natrafiono na źródło siarczane, przy którem ma być urządzony zakład leczniczy.

Zjazdy Powstał projekt zjazdu w Warszawie lekarzy, ordynujących w szpitalach w Królestwie Polskiem w celu omówienia pewnych ulepszeń w leczeniu chorych i urządzeniu szpitali.

— Zjazd prawników i ekonomistów polskich, który miał się odbyć we wrześniu r. b. w Poznaniu, nie przyjdzie prawdopodobnie do skutku i zostanie odłożony na rok przyszły.

— Dnia 10-go b. m. odbędzie się w Chełmnie zjazd przemysłowców polskich z Prus Zachodnich.

Teatr. Obowiązki reżysera dramatu i komedyi po pp. Józefie Kotarbińskim i Bolesławie Ładnowskim objął p. Władysław Szymanowski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani A. N. w Radziwiłowie. Nie skąpilibyśmy Pani rad, gdyby one wobec ogólnie wyrażonego życzenia były możliwe. Nie wiemy, co Pani umie i co chce umieć, więc niepodobna wskazać drogi dla samouctwa, obejmującego przecie najrozmaitsze gałęzie wiedzy. Rs. 5 w kopercie nie znaleźliśmy. Jest to zwykły los pieniędzy, przesyłanych w listach zwyczajnych lub rekomendowanych. Zresztą nawet ustawa pocztowa takich przesyłek zabrania.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Ценсурою, Варшава 19 Іюня 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.